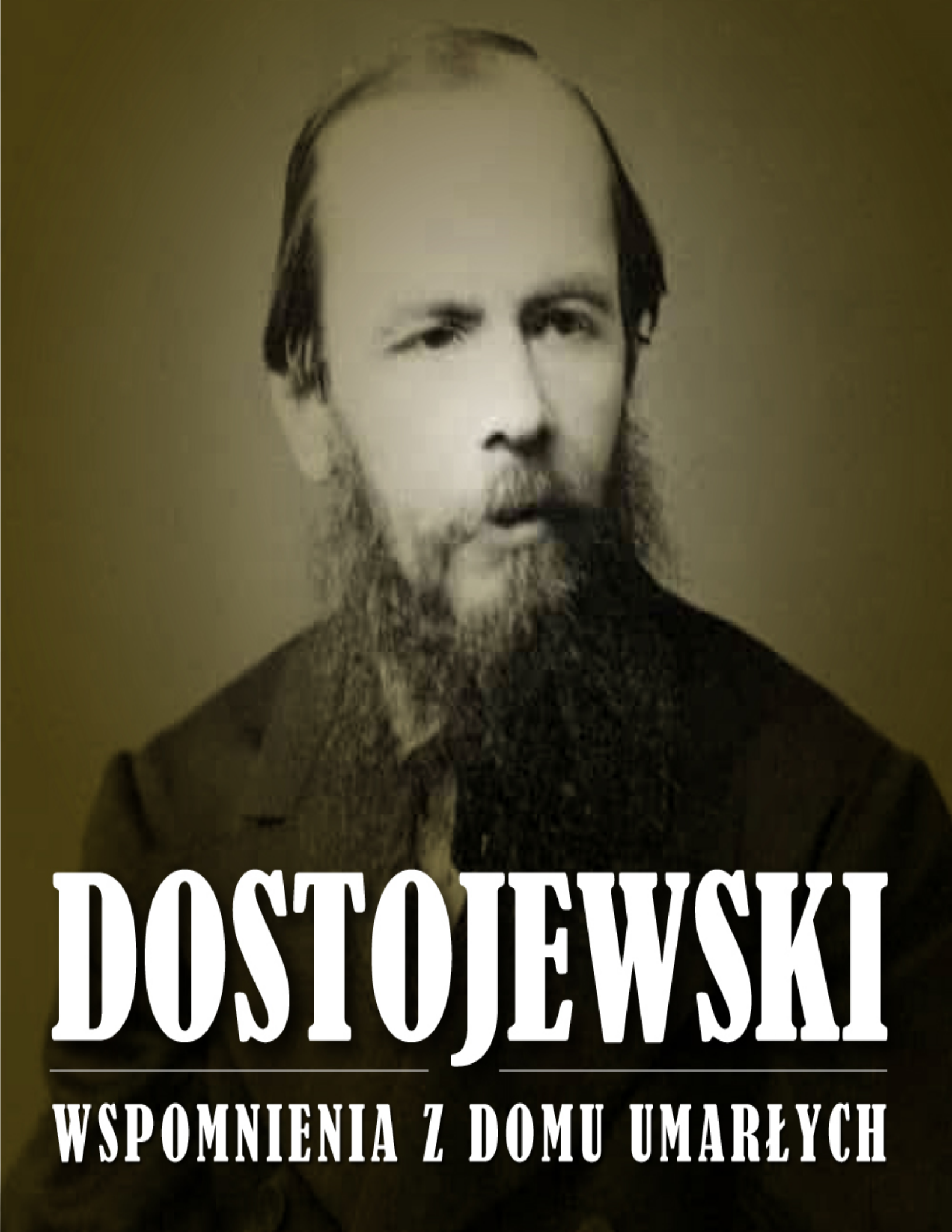




DOSTOJEWSKI

WSPOMNIENIA Z DOMU UMARŁYCH

Wspomnienia z domu umarłych

Autor: Fiodor Dostojewski

Tłumaczenie: Józef Tretiak

Uwspółcześnienie przekładu: Przemysław Andrzejewski

OD WYDAWCY

Ktoś, kto zdefiniował człowieka jako „istotę, która się do wszystkiego przyzwyczaja”, musiał dźwigać ciężar życiowych doświadczeń wyniesionych z obserwacji ludzkich zachowań w sytuacjach ekstremalnych. Takich, które można traktować jako egzamin z człowieczeństwa. Owo „przyzwyczajanie” w zacytowanym fragmencie wypowiedzi rosyjskiego pisarza Fiodora Dostojewskiego, ma wyraźnie wydźwięk ambiwalentny. Z jednej strony dowodzi hartu ducha, siły i determinacji człowieka, jednak z drugiej – wiąże się z pewnym niepokojem czającym się za pytaniem: jaką cenę gotów jest zapłacić za przeżycie? Czy w tej chęci przetrwania mimo wszystko i za wszelką cenę nie ma czegoś budzącego trwogę? To właśnie jeden z dylematów nękających Dostojewskiego – autora, który doczekał się opinii przenikliwego badacza najmroczniejszych zakamarków ludzkiej duszy. Nie jest to etykieta przypięta twórcy bez powodu.

Fundamentalne pytania o człowieczeństwo pojawiają się bowiem na kartach jego dzieł notorycznie, jednak jeśli spodziewamy się znaleźć na nie proste odpowiedzi – będziemy zawiedzeni. Najczęściej czytelnik zostaje skonfrontowany z pisarską wizją i tezami autora, lecz w ostateczności musi samodzielnie szukać rozwiązań. W taki sposób skonstruowane są dwie najbardziej znane i cenione klasyczne powieści Dostojewskiego, czyli *Zbrodnia i kara* oraz *Bracia Karamazow* – obie podejmujące tzw. „przekłète problemy” krążące wokół tematu walki dobra i zła w człowieku. Wspomniane dzieła rosyjskiego twórcy traktuje się często jako sumę jego filozoficznych przemyśleń, dla których punktem wyjścia były doświadczenia zdobyte podczas zesłania na Syberię. Te natomiast pisarz ujął w literacką formę w książce, którą właśnie oddajemy w ręce naszych Słuchaczy.

Wspomnienia z domu umarłych to fabularyzowany wycinek biografii Dostojewskiego jako więźnia, który w 1854 roku trafił do Omska i tym samym znalazł się w świecie obnażającym najciemniejszą stronę ludzkiej

natury. Zesłanie na czteroletnią katorgę było konsekwencją przynależności pisarza do tzw. Koła Pietraszewskiego. Członkowie tej nielegalnej organizacji raz w tygodniu zbierali się w domu działacza społecznego propagującego filozofię materialistyczną – Michaiła Pietraszewskiego. Podczas towarzyskich spotkań omawiano kwestie społeczne i podejmowano dyskusje filozoficzne. Czytano też zakazane przez władze książki, które inspirowały do rozmów o aktualnych sprawach. Pietraszewcy krytykowali ogólne zacofanie Rosji i widzieli szansę na rozwiązanie tego problemu we wprowadzeniu reform wzorowanych na zachodnioeuropejskich. Większość członków tego ugrupowania wyrażała poparcie dla idei socjalizmu utopijnego, jednak wiele wskazuje na to, że Dostojewskiemu te poglądy były obce. Jeden z biografów pisarza, Stanisław Mackiewicz zauważył, że: „Dostojewski ówczesny był już zapowiedzią Dostojewskiego późniejszego. Miał już (wówczas) przekonania ludowe, nacjonalistyczne, religijne, monarchiczne”.

Wiosną 1849 roku Dostojewski, wraz z innymi intelektualistami należącymi do Koła Pietraszewskiego, został aresztowany pod zarzutem organizowania spisku przeciwko władzy. Wszystkich podejrzanych osadzono w Twierdzy Pietropawłowskiej. Choć trwające wiele miesięcy przesłuchania nie przyniosły pożądaných dla policji rezultatów i nie trafiono na żaden trop mogący dowodzić planowania jakiegoś zamachu, to jednak ostatecznie pietraszewców skazano na karę śmierci. W gronie tym znalazł się także Fiodor Dostojewski. 22 grudnia 1849 roku pisarz, wraz z kolegami, stanął na Placu Siemionowskim w Petersburgu oko w oko z plutonem egzekucyjnym. Zanim wojsko wycelowało karabiny w stojących skazańców, jeszcze raz oficjalnie odczytano wyrok, zapoznając z jego treścią tłum gapiów i przypominając o werdykcie ofiarom. Następnie popobłogosławił skazanych, przygotowując ich do ostatniej wędrówki. I wtedy stało się coś nieprzewidzianego. Otóż w momencie, gdy Dostojewski spodziewał się śmiertelnego strzału, odczytano carskie ułaskawienie. Karę śmierci zamieniono na czteroletnią katorgę. Po jej zakończeniu pisarz miał jeszcze odbyć służbę wojskową jako szeregowy żołnierz, gdyż jako skazaniec został zdegradowany i pożegnał się z rangą porucznika.

Kilka dni po tym traumatycznym doświadczeniu, zakuty w kajdany przyszedł autor Wspomnień z domu umarłych, wyruszył w długą drogę na

Sybir. Jej celem był ostróg – jak określano rosyjskie więzienie – w Omsku. Zatrzymując się w Tobolsku otrzymał od jakiejś kobiety Ewangelię – jedyną książkę, która miała Dostojewskiemu towarzyszyć w ciągu najbliższych czterech lat. Jej lektura okazała się zbawienna dla zesłańca, któremu początkowo trudno było dostosować się do nowych warunków życia i odnaleźć w obcym środowisku. To właśnie Pismo Święte dawało mu wskazówki do zrozumienia siebie i innych. Pomagało przezwycięzać własne słabości i uprzedzenia. Silnie wpłynęło na jego światopogląd, a moralność chrześcijańska przeniknęła do jego późniejszej twórczości, o czym można się przekonać, czytając na przykład Braci Karamazow.

Zanim jednak Dostojewski sięgnął po pióro, przyszło mu przeżyć piekło na ziemi w miejscu, które w swojej wspomnieniowej książce nazwie „domem umarłych”. Wkraczając do niego, człowiek musiał nauczyć się życia od nowa. Należało zawiesić pamięć o przeszłości, zapomnieć o uczuciach i regułach rządzących w świecie ludzi wolnych. Teraz liczyło się jedno: przetrwać. Do tego potrzebne było przyswojenie reguł obowiązujących w prymitywnych drewnianych barakach, w których mieszkało około dwustu pięćdziesięciu katorżników.

Towarzystwo Dostojewskiego stanowiła mozaika ludzkich charakterów, osób wywodzących się z różnych grup społecznych i reprezentujących rozmaite nacje. Byli wśród nich ludzie niezłomni, o szlachetnych cechach i tacy, w których tkwiły bestialskie instynkty. Kryminaliści, którzy dokonali ohydnych zbrodni, ale też i tacy, którzy trafili na zesłanie na skutek denuncjacji, głoszonych poglądów czy przynależności do organizacji uznanych przez władze za niebezpieczne. W Omsku ich przeszłość schodziła na dalszy plan. Tu byli po prostu zakutymi w kajdany katorżnikami, którym ogolono głowy i pozbawiono ich rysów indywidualnych. Mieli stać się jednymi z wielu, którzy pod okiem strażników wykonywali ciężkie prace fizyczne, walcząc o przetrwanie kolejnego dnia i odliczając czas do końca zesłania.

Dostojewski musiał odnaleźć się w tym „innym świecie”. Dla kogoś, kto uważał się za intelektualistę i lubił podkreślać swoje szlacheckie pochodzenie, okazało się to wyjątkowo trudne. Pisarz w pamięci innych katorżników zapisał się jako człowiek nadęty, pewny siebie, wywyższający

się, a do tego wybuchowy i łatwo wpadający w gniew. Jeden z zesłańców, Szymon Tokarzewski, w książce *Siedem lat w Rosji i na Syberii* w ten sposób wspominał Dostojewskiego: „Był (...) pyszny. Nie rozumiem, jak mógł znaleźć się na katordze jako rewolucjonista, skoro ciągle opowiadał o swoim szlachectwie”. Ten polski zesłaniec, w książce Dostojewskiego występujący jako T-ki, został skazany przez sąd wojenny na dziesięć lat katorgi za udział w niepodległościowym spisku księdza Piotra Ściegiennego. Tematy patriotyczne, zwłaszcza związane z Polską i niepodległościowymi ambicjami Polaków, stawały się często kością niezgody w rozmowach z udziałem Dostojewskiego. Tokarzewski w jednym z fragmentów swojego pamiętnika zanotował, że jego rosyjski towarzysz niedoli „(...) częstokroć stawał się nieznośnym, wprost niemożliwym w dysputach. Zarozumiały i brutalny (...)”. W podobnym tonie wypowiadał się na temat pisarza inny katorżnik, Józef Bogusławski, który pojawia się na kartach *Wspomnień z domu umarłych* jako B-ki. Pozostali Polacy przywołani w relacji Dostojewskiego pod podobnymi, skrótowymi pseudonimami to: Aleksander Mirecki, Karol Bem, Józef Anczykowski oraz Feliks Józef Żochowski.

Dla wielu z katorżników zesłanie nigdy się nie kończyło. Część umierała w tym „martwym domu”, a inni nie otrzymali zgody na opuszczenie Syberii. Dostojewskiemu udało się wyrwać z tego koszmaru. Kiedy okres odbywania wyroku dobiegł kresu, pisarz udał się do kowala, który pozbawił go towarzyszących mu przez ostatnie cztery lata uciążliwych kajdan. Następnie został skierowany do Semipałatyńska w Kazachstanie, gdzie wcielono go do 7. Syberyjskiego Batalionu Liniowego. Po sześciu latach przymusowej służby wojskowej Dostojewski uzyskał zgodę cara Aleksandra II na powrót do Petersburga – miasta, które opuścił dziesięć lat wcześniej. Do stolicy Imperium Rosyjskiego przybył 29 listopada 1859 roku.

Dwanaście miesięcy później, we wrześniu 1860 roku w czasopiśmie „*Russkij Mir*” ukazała się pierwsza część książki, w której pisarz przedstawił czytelnikom „dom umarłych”. Osobiste obserwacje i przeżycia stały się impulsem do stworzenia fabularyzowanych wspomnień ujętych w formę powieści. Jej narratorem autor uczynił Aleksandra Pietrowicza Gorianczykowa – człowieka skazanego na dziesięć lat zesłania na Syberię

za zamordowanie żony. To właśnie jego oczyma oglądamy katorżniczą codzienność i poznamy innych skazańców.

Współcześni nie wypowiadali się zbyt pochlebnie o Dostojewskim. Mawiano, że był „złym i podłym człowiekiem” oraz „najbardziej wrednym chrześcijaninem”. Negatywnie oceniano jego Zbrodnię i karę, krytykowano Biesy. Jednak nawet ci twórcy, którzy na temat dorobku Dostojewskiego nie mieli dobrego zdania, dla powieści o syberyjskiej katordze robili wyjątek. Przykładem może być tutaj choćby Lew Tołstoj, który stwierdził, że Wspomnienia z domu umarłych to „wzniosła sztuka religijna, inspirowana głęboką wiarą i miłością do ludzkości”. Dzieło przeszło próbę czasu i zdobyło szerokie uznanie na całym świecie. Obecnie uważa się, że to jedna z najważniejszych pozycji poświęconych tematyce zesłańczej.

Poznajmy zatem „inny świat”, w którym odwaga przeplata się z odczuwanym w niemalże każdej chwili lękiem, gdzie nie ma miejsca ani na bohaterstwo, ani na tchórzostwo, a absurdalność i okrucieństwo kar cielesnych wpisane są w codzienną rutynę. Wkroczmy do „martwego domu”, w którym człowiek zamiast żyć, pragnie tylko przetrwać.

Życzymy interesującej lektury, obfitującej w cenne refleksje,

Łukasz Tomys z Zespołem

Rozdział I

MARTWY DOM

Nasz dom więzienny stał na krawędzi fortecy, tuż pod wałem fortecznym. Popatrzysz, bywało, przez szczeliny ostrokołu na świat boży, czy nie zobaczysz tam czegośkolwiek, i widzisz tylko skrawek nieba i wysoki wał ziemny, porośły burzanem, a po tym wale tam i na powrót, dniem i nocą, chodzi straż wojskowa, i zaraz pomyślisz, że przejdą całe lata, a ty tak samo będziesz podchodził do częstokołu i zobaczysz ten sam wał, taką samą straż na wale i ten sam mały skrawek nieba, nie tego nieba, które nad więzieniem, ale innego, dalekiego, wolnego nieba. Wyobraźcie sobie wielki dziedziniec, dwieście kroków długi, a półtorej setki szeroki, dziedziniec w kształcie nieregularnego sześciokąta, cały otoczony częstokołem z wysokich pali, mocno i głęboko w ziemię wbitych, szczelnie przystających do siebie krawędziami, utwierdzonych poprzecznymi belkami i z góry zaostrzonych: oto zewnętrzna rama więzienna. W jednej ze stron tej zagrody jest mocna brama, zawsze zamknięta, dniem i nocą strzeżona: otwierano ją tylko, aby puścić więźniów na roboty. Za tą bramą był jasny, wolny świat, tam żyli ludzie, jak wszędzie. Ale po tej stronie ostrokołu ów świat wydawał się marzeniem fantastycznym. Tutaj był świat osobny, do żadnego innego niepodobny, tu były swoje odrębne prawa, swoje stroje, zwyczaje, obyczaje: dom żywcem pogrzebanych, życie, jakiego nigdzie się nie znajdzie, i ludzie szczególni. Ten to osobliwy zakątek zamierzam opisać.

Wchodząc do ogrodzenia, widzicie w jego wnętrzu kilka budynków. Po obu stronach wewnętrznego dziedzińca ciągną się dwa długie domy; to są „kazarmy”, czyli koszary. Tu mieszkają aresztanci, rozmieszczeni według tego, do jakiego rzędu przestępców należą. Dalej w głębi dziedzińca jeszcze jeden budynek drewniany: to kuchnia podzielona na dwa oddziały. Dalej jeszcze budynek, gdzie pod wspólnym dachem mieszczą się piwnice,

spichrze i szopy. Środek dziedzińca niezabudowany, tworzy równy i dość wielki plac. Tu szykują się aresztanci, tu następuje ich wywoływanie i sprawdzanie rano, w południe i wieczór, a niekiedy i częściej, co zależy od podejrzliwości strażników i ich umiejętności liczenia. Wkoło, pomiędzy budynkami a ostrokołem, zostaje jeszcze dość wolnej przestrzeni. Tutaj pod tylnymi ścianami budynków niektórzy więźniowie, posępniejsi i więcej stroniący od ludzi, lubią chodzić w czas nieroboczy, zakryci od oczu ludzkich, i przemyśliwać. Spotykając się z nimi podczas takich przechadzek, lubiłem wpatrywać się w ich ponure, piętnowane twarze i zgadywać, o czym oni tak dumają. Był jeden z zesłanych, którego ulubionym zajęciem w czasie wolnym było liczenie pali. Wszystkich pali było półtora tysiąca, wszystkie liczył i miał na uwadze. Każdy pal w jego rachunku oznaczał dzień; każdy dzień odliczał po jednym palu i tym sposobem po ilości niedoliczonych pali mógł wiedzieć, jak długo mu jeszcze potrzeba zostawać w katordze. Wiele lat wypadało mu jeszcze czekać, ale w więzieniu było dość czasu na nauczenie się cierpliwości. Widziałem raz, jak się żegnał z towarzyszami aresztant, który przebył dwadzieścia lat w katordze i na koniec wychodził na wolność. Byli tacy, którzy pamiętali, jak wchodził do więzienia młody, o nic się nietroszczący, niemyślący ani o swojej zbrodni, ani o karze. Wychodził siwy starzec, z twarzą ponurą i smutną. Milcząc, obchodził wszystkie nasze koszary, modlił się przed obrazami, a potem nisko, zginając się w pół, kłaniał się swoim towarzyszom i prosił, aby go źle nie wspominali. Pamiętam także, jak pewnego aresztanta, który był przedtem zamożnym właścicielem sybirskim, wezwano raz pod wieczór do bramy. Pół roku przedtem otrzymał wiadomość, że jego była żona ponownie wyszła za mąż i mocno to odczuł. Teraz ta żona właśnie podjechała do bramy, wywołała go i dała mu jałmużnę. Pomówili ze sobą ze dwie minuty, zapłakali i pożegnali się na wieki. Widziałem twarz jego, kiedy wracał do kazarmy... Tak, tutaj można było nauczyć się cierpliwości.

Gdy zmierzch zapadał, wprowadzano wszystkich nas do kazarmów i zamykano na całą noc. Ciężko mi było zawsze wracać z dziedzińca do naszej kazarmy. Była to długa, niska, duszna sala, mdło oświetlona łożowymi świecami, z ciężkim, zabijającym zapachem. Nie pojmuję teraz, jak w niej przeżyłem lat dziesięć. Do spania na tak zwanych „narach” miałem tylko trzy deski: to było całe moje miejsce. Na tych narach w naszej

tylko izbie mieściło się aż trzydziestu ludzi. W zimie zamykano nas wcześniej; trzeba było ze cztery godziny czekać, dopóki wszyscy zasną. A do tego gwar, hałas, śmiechy, przekleństwa, dźwięk łańcuchów, śwąd i kopcenie, golone głowy, piętnowane twarze, łatane ubiory — wszystko napiętnowane, zbezczeszczone. Tak, człowiek może dużo wytrzymać. Człowiek jest istotą do wszystkiego przywykającą, i myślę, że to najlepsze jego określenie.

Mieściło się nas w ostrogu prawie stale około dwie i pół setki ludzi. Jedni przybywali, drudzy kończyli karę, inni umierali. I kogo tu nie było! Myślę, że każda część, każda gubernia Rosji miała swoich przedstawicieli. Byli innoplemieńcy, było między skazańcami nawet kilku kaukaskich górali. Podzieleni byli według stopnia przestępstw, a więc według liczby lat karyznaczonych za przestępstwo. Trzeba przypuścić, że nie było takiego przestępstwa, które by tam nie miało swego przedstawiciela. Podstawę całej ludności więziennej stanowili cywilni przestępcy (silno katorżni — zamiast zsilno katorżni — jak się sami naiwnie nazywali). Byli to przestępcy zupełnie pozbawieni wszelkich praw, odcięte od społeczeństwa strzępy, z twarzą napiętnowaną, na wieczne świadectwo, że są wyrzutkami społecznymi. Przysyłano ich do ciężkich robót na osiem do dwunastu lat, a potem rozsyłano gdziekolwiek po wsiach sybirskich, jako posileńców. Byli i przestępcy wojskowi, niepozbawieni praw swego stanu, jak w ogóle w rosyjskich rotach aresztanckich (od wydawcy: czyli kompaniach poprawczych podlegających wyłącznie władzom wojskowym). Przysyłano ich nie na długo, a kiedy termin kary nadszedł, odsyłano tam, skąd przyszli, do sybirskich, liniowych batalionów, jako żołnierzy. Wielu z nich wnet powracało do ostrogu za powtórne poważne przestępstwa, ale już nie na krótko, tylko na lat dwadzieścia. Ten oddział nazywał się „wiecznym” (po rosyjsku *wsiegdasz*ni). Ale i „wieczni” nie byli jeszcze zupełnie pozbawieni praw stanu. Na koniec był jeszcze jeden oddział najstraszniejszych przestępców, przeważnie wojskowych, oddział dość liczny. Nazywał się „osobnym oddziałem”. Przysyłano tu przestępców z całej Rosji. Oni sami uważali siebie za wiecznych i nie wiedzieli, czy jest jakiś termin ich kary. Według kary powinni byli pracować dwa lub trzy razy więcej niż inni. Trzymano ich w ostrogu, dopóki nie zostaną otwarte na Syberii najcięższe roboty katorżne. „Wam do terminu, a nam wzdłuż po katordze” — mówili oni do innych uwięzionych (od wydawcy: określenie

wzdłuż po katordze oznaczało katorżniczą pracę bez terminu końcowego, najczęściej dożywotnio). Słyszałem potem, że oddział ten został zniesiony. Prócz tego zniesiony został w naszej fortecy i cywilny porządek i urządzona została jedna powszechna wojskowo-aresztancka rota. Rozumie się, że razem z tym zmienił się zarząd. Opisuję tu zatem rzeczy minione, dawniejsze...

Dawno to już było. Wszystko to teraz przedstawia mi się jak we śnie. Pamiętam, kiedy wszedłem do ostrogu. Było to już wieczorem, w styczniu. Zapadał zmierzch; lud więzienny wracał z robót. Gotowano się do sprawdzania. Wąsaty podoficer otworzył na koniec przede mną drzwi do tego dziwnego domu, w którym miałem przeżyć tyle lat, przenieść tyle ciężkich wrażeń. O tych wrażeniach, nie doznawszy ich w rzeczywistości, nie mogłbym mieć nawet dalekiego i niejasnego pojęcia. Na przykład, w żaden sposób nie mogłbym sobie tego wyobrazić: co jest strasznego, męczącego w tej okoliczności, że przez całe dziesięć lat mojej katorgi nie będę ani przez chwilę sam jeden. Na robocie zawsze pod konwojem, w domu z dwustu towarzyszami i ani razu, ani razu sam. Zresztą, czy do tego tylko miałem się jeszcze przyzwyczaić!

Byli tu zabójcy przypadkowi i zabójcy z zawodu, rozbójnicy i hersztowie rozbójników. Byli prości rzezimieszkowie i włóczęgi, tacy, co przywłaszczali sobie pieniądze znalezione, i tacy, co się do nich dobierali. Byli i tacy, o których trudno było coś powiedzieć, za co też mogli się tu dostać. A tymczasem każdy z nich miał swoją powieść, mętną i ciężką, jak głowa po wczorajszej pijatyce. W ogóle o swojej przeszłości mówili mało, nie lubili opowiadać i widocznie starali się zapomnieć o tym, co było. Znałem wśród nich zabójców do tego stopnia wesołych, tak nigdy niezamyślających się, że można było iść o zakład, że nigdy sumienie nie robiło im żadnego wyrzutu. Ale były i posępne twarze, prawie zawsze milczące. W ogóle o życiu swoim rzadko kto opowiadał, a i ciekawość nie była w modzie, w zwyczaju, nie była rzeczą przyjętą. Czasami tylko ktoś, chyba z braku zajęcia, rozgada się, a drugi obojętnie i pochmurnie słucha. Nikt tu nikogo nie mógł swoim opowiadaniem zadziwić. „My naród piśmienny”, mawiali często z jakimś dziwnym zadowoleniem z siebie. Pamiętam, jak raz jeden zbój pijany (w katordze można się było czasem upić), zaczął opowiadać, jak zarznął pięcioletniego chłopczyka, jak go

zwabił naprzód jakąś zabawką, zaprowadził potem do pustej szopy i jak go tam zarznął. Cała kazarma, która śmiała się dotychczas z jego żartów, zakrzyczała jak jeden człowiek i zbój musiał zamilknąć. Ale kazarma zakrzyczała nie z oburzenia, ale dlatego, że nie trzeba mówić o tym, że o tym mówić nie wypada. Powinienem dodać, że to byli rzeczywiście ludzie piśmienni, i to nie w przenośnym, ale w zwykłym znaczeniu słowa. Z pewnością więcej niż połowa z nich umiała czytać i pisać. W jakimkolwiek innym miejscu, gdzie lud rosyjski zbiera się w większych masach, oddzielcie gromadę z 250 ludzi; czy znajdzie się tam połowa piśmiennych? Słyszałem potem, jak z podobnych objawów wnioskowano, że piśmienność prowadzi lud do zguby. Jest to błąd; zupełnie inne działają tu przyczyny, chociaż nie można się na to nie zgodzić, że piśmienność rozwija w ludzie ufność w swoje siły. Ale to przecież nie jest wadą.

Oddziały odróżniały się ubiorem. Jedni mieli kurty w połowie ciemnobure, w połowie szare i spodnie tak samo: jedna noga szara, druga bura. Pewnego razu na robocie mała dziewczyna, sprzedająca kołacze, podszedłszy do aresztantów, długo się wpatrywała we mnie i potem nagle zaśmiała się „Fe, jak nieładnie — zawołała — i szarego sukna nie starczyło i czarnego sukna nie starczyło”. Byli i tacy, u których cała kurtka była szara, tylko rękawy ciemne. Głowy golono także w różny sposób; jedni mieli pół głowy ogolonej wzdłuż czaszki, inni w poprzek.

Na pierwszy rzut oka można było zauważyć w tej dziwnej, więziennej rodzinie pewien wybitny, wspólny charakter. Nawet najbardziej samodzielne, oryginalne osobowości, mimo woli panujące nad innymi, i te starały się zastosować do powszechnego tonu, jaki panował w ostrogu. W ogóle trzeba wiedzieć, że cały ten lud więzienny — wyjąwszy niewielu ludzi nieustannie wesołych, na których za to ciążyła powszechna pogarda — był to lud ponury, zawistny, straszliwie próżny, chępliwy, obraźliwy i do najwyższego stopnia przywiązany do formy. Zdolność, by niczemu się nie dziwić, uchodziła za największą cnotę. Wszystkim nieskończenie wiele chodziło o to, jak się pokazać w oczach innych. Ale nieraz największy zuchwalec z bystrością błyskawicy zmieniał się w największego tchórza. Było kilku istotnych siłaczy; ci byli prości i nie stroili min. Ale rzecz dziwna, i między tymi siłaczami byli ludzie niesłychanie, niemal chorobliwie próżni. W ogóle próżność, dbałość o pozór, były na pierwszym

planie. Większość była zepsuta i strasznie spodlona. Plotki i obmowy nie ustawały: było to piekło, otchłań gehenny. Ale przeciwko wewnętrznym ustawom i powszechnie przyjętym zwyczajom ostrogu nikt nie śmiał powstawać; wszyscy im ulegali.

Zdarzały się charaktery silnie wybitne, z trudnością ulegające, ale i te ulegały. Przychodzili do ostrogu i tacy, którzy już zbyt wiele pozwalali sobie na świecie, zbyt nadużyli wolności rąk, tak że pod koniec popełniali przestępstwa jakby bez celu, jakby w gorączce, w szaleństwie, często z ambicji, do najwyższego stopnia rozbudzonej. Ale choć tacy nieraz bywali postrachem i grozą dla całych okolic, u nas ich prędko osadzono na miejscu. Oglądając się wokoło, nowicjusz szybko spostrzegał, że tu inaczej niż gdzie indziej, że tu nie ma kogo zadziwiać i nieznacznie pokorniał i stosował się do ogólnego tonu.

Ten ton ogólny stanowiło na zewnątrz jakieś poczucie własnej, odrębnej godności, którym przejęty był nieomal każdy mieszkaniec ostrogu. Rzekłbyś, że stanowisko takiego skazańca katorżnego było jakimś stopniem urzędowym, i to zaszczytnym. Ani śladu wstydu i skruchy. Prawda, było pewne zewnętrzne korzenie się, urzędowe, spokojne rezonowanie: „My ludzie zgubieni!” — mawiali — „Nie umieli żyć wolni, teraz kop zieloną ulicę”. — „Nie słuchał ojca i matki, posłuchaj teraz skóry na bębnie”. — „Nie chciałeś szyć złotem, teraz bij kamienie młotem”. Wszystko to powtarzało się często w rodzaju nauki moralnej, w rodzaju zwykłych przysłów, nigdy na serio. Były to tylko słowa. Bodaj czy choć jeden z nich przyznawał się w duszy do bezprawia. Niech no kto z niekatorżnych spróbuje wytknąć aresztantowi przestępstwo, zgromić go za to (choć zresztą robić wyrzuty przestępcy nie zgadza się z charakterem Rosjanina) — obelgom nie będzie końca. A byli mistrzami w obelgach. Łajali się subtelnie, kunsztownie. Lżenie było podniesione do stopnia nauki: starali się dociąć nie tyle krzywdzącym słowem, ile krzywdzącym znaczeniem, duchem, ideą, a to czyniło obelgę subtelniejszą, jadowitszą. Nieustanne kłótnie sprzyjały rozwojowi tej nauki. Cały ten lud pracował pod kijem, więc był próżniaczy i psuł się coraz bardziej; kto niezepsuty przybywał do katorgi, to się musiał zepsuć. Wszyscy się tu zebrali nie z własnej woli; wszyscy byli obcy sobie.

— „Czart trzy pary łapci znosił, nim zebrał nas w jedną kupę” — mówili o sobie; a stąd plotki, intrygi, babskie namowy, zawiść, swary, złość były zawsze na pierwszym planie w tym życiu czyścicowym (od wydawcy: łapcie to dawne plecione obuwie zakładane najczęściej na stopy owinięte w onuce). Żadna baba nie zdołała być taką babą, jaką bywali niektórzy z tych zbójów. Powtarzam, byli wśród nich ludzie silni, charaktery przywykłe przez całe życie łamać i rozkazywać, zahartowane, nieznające strachu. Tych mimo woli szanowano. Oni zaś ze swej strony, chociaż czuli byli na swoją sławę, ale w ogóle starali się nie dokuczać innym, nie wdawali się w obelżywe kłótnie, zachowywali się z niezwykłą godnością, postępowali rozsądnie i prawie zawsze byli posłuszni władzy — nie dla zasady posłuszeństwa, nie z poczucia obowiązku, ale jakby na podstawie jakiegoś kontraktu, jakby wskutek zrozumienia wzajemnych korzyści. Zresztą i władza obchodziła się z nimi ostrożnie. Pamiętam, jak jednego z takich aresztantów, człowieka nieustraszonego i stanowczego, znanego naczelnikom ze zwierzęcego usposobienia, wezwano raz dla ukarania za jakieś wykroczenie. Dzień był letni, czas nieroboczy. Sztabsoficer, najbliższy, bezpośredni zwierzchnik ostrogu, przyjechał sam do kordegardy (od wydawcy: czyli budynku dla straży wojskowej), ażeby być obecnym przy egzekucji. Ten major był fatalną dla aresztantów istotą; doprowadził ich do tego, że trzęśli się przed nim. Srogi był do okrucieństwa, „rzucał się na ludzi” — mówili katorżnicy. Najbardziej lękali się jego przenikliwego, rysiego wzroku, przed którym nie można było nic ukryć. Zdawało się, że widział, nie patrząc. Wchodząc do ostrogu, już wiedział, co się dzieje na drugim końcu. Aresztanci nazywali go ośmiookim. System jego był fałszywy. Swoim wściekłym, złym postępowaniem budził tylko jeszcze większą złość w ludziach i tak pełnych złości, i gdyby nie miał nad sobą komendanta, człowieka szlachetnego i rozsądnego, łagodzącego niekiedy jego dzikie wybryki, to jego rządy sprowadziłyby wiele nieszczęść. Nie rozumiem, jak mógł zakończyć służbę szczęśliwie; wystąpił z wojska, jest żywy, chociaż zresztą był pod sąd oddany.

Aresztant pobladł, kiedy go wezwano. Zwykle milcząc, bez wahania kładł się pod różgi, w milczeniu znosił karę, a po egzekucji wstawał, jakby się nic nie stało, obojętnie i filozoficznie zapatrując się na złą przygodę. Z nim zresztą postępowano zawsze ostrożnie. Tym razem jednak, nie wiem dlaczego, uważał, że słusność jest po jego stronie. Pobladł i ukradkiem, tak

że nikt z konwoju nie widział, zdołał wsunąć w rękaw szewski nóż, ostry, angielski. Noży i wszelkich ostrych narzędzi nie wolno było mieć w ostrogu pod straszną odpowiedzialnością. Rewizje były częste, niespodziane i nie na żarty, ale że trudno znaleźć u złodzieja coś, co on bardzo pragnie ukryć, i że noże i inne narzędzia były ciągle potrzebne w ostrogu, to ich nigdy nie brakło. A jeśli znaleziono i odebrano, to natychmiast zjawiały się nowe. Cała katorga rzuciła się ku ostrokołowi i z przyspieszonym tętnem serc patrzyła przez szczeliny między palami. Wszyscy wiedzieli, że Pietrow tym razem nie zechce poddać się różgom i że major zginie. Ale w rozstrzygającej chwili nasz major siadł do dorożki i odjechał, powierzwszy egzekucję innemu oficerowi. „Sam Bóg go ocalił” — mówili potem aresztanci. Co się tyczy Pietrowa, to najspokojniej zniósł karę. Jego gniew zniknął z odjazdem majora. Aresztant jest posłuszny i spokojny do pewnego stopnia, ale jest granica, której nie należy przekraczać. Nawiasem dodam, że nie ma nic ciekawszego od tych strasznych wybuchów zniecierpliwienia i zuchwalstwa. Niejeden znosi cierpliwie przez kilka lat najsroższe kary, okazuje pokorę i naraz wybucha przy jakiejś drobnostce, prawie bez powodu. Można by to nazwać szaleństwem, a jednak tak się dzieje.

Powiedziałem już, że w ciągu kilku lat nie dostrzegłem w tych ludziach najmniejszej oznaki skruchy, ani śladu żalu za zbrodnie i że większa ich część w głębi duszy czuła się zupełnie niewinna. Jest to fakt. Niewątpliwie próżność, złe przykłady, odwaga, fałszywy wstyd wiele się przyczyniają do tego. Z drugiej strony może ktoś powiedzieć, że sięgnął do głębi tych serc zatrutych i odczytał w nich to, co tam się przed światem ukrywa! Ale jednak przez tyle lat można by było choć cokolwiek zauważyć, uchwycić, dostrzec w tych sercach choćby jeden rys, który by świadczył o trosce wewnętrznej, o cierpieniu. Ale nie było tam tego, stanowczo nie było. Tak, zbrodnia nie może być pojmowana z gotowych, z góry oznaczonych punktów widzenia i filozofia zbrodni jest nieco zawilsza, niż ludzie sądzą. Naturalnie wspólne więzienia i system robót przymusowych nie poprawiają przestępców; są tylko karą i zabezpieczają społeczeństwo przed dalszymi zamachami złoczyńcy na jego spokój. W przestępcy zaś ostróg i najcięższa praca katorżna rozbudzają tylko nienawiść, pragnienie wzbronionych przyjemności i niesłychaną lekkomyślność. Ale mam silne przekonanie, że również sławny system więzienia w osobnych celach osiąga tylko złudne,

pozorne rezultaty. Wysysa on żywotne soki z człowieka, denerwuje, osłabia duszę, czyni ją wylęklą i potem tę moralnie wysuszoną mumię, półobląkańca, przedstawia jako wzór poprawy i skruchy.

Niewątpliwie przestępca, który powstał przeciw społeczeństwu, nienawidzi go i prawie zawsze upatruje słuszość po swojej stronie, a winę po stronie społeczeństwa. Przy tym już doznał od niego kary, a wskutek tego zdaje mu się, że się oczyścił, że się skwitował. Na koniec można na rzecz patrzeć z takiego stanowiska, że omal nie wypadnie usprawiedliwiać zbrodniarza. Ale jakiegokolwiek mogą być punkty widzenia, każdy zgodzi się na to, że są takie zbrodnie, które zawsze i wszędzie, według wszelkich praw, od początku świata uważane są za zbrodnie niezaprzeczone i będą za takie uważane, dopóki człowiek jest człowiekiem. Tylko w ostrogu słyszałem opowiadania o najstraszniejszych, najprzeciwniejszych naturze postępach, o najpotworniejszych zabójstwach, opowiadania, którym towarzyszył niepowstrzymany, dziecinnie wesoły śmiech opowiadającego.

Szczególnie nie wychodzi mi z pamięci pewien ojcobójca. Pochodził on ze szlachty, mieszkał przy ojcu sześćdziesięcioletnim, wobec którego był czymś w rodzaju syna marnotrawnego. Prowadził się najgorzej, wpłatał się w długi. Ojciec ograniczał go, napominał; ale ojciec miał dom, miał futor (od wydawcy: czyli dawną zagrodę wiejską na słabo zaludnionych obszarach), domyślano się, że ma pieniądze i — syn zabił ojca, pragnąc dziedzictwa. Zbrodnię odkryto dopiero w miesiąc po jej dokonaniu. Sam zabójca doniósł policji, że jego ojciec nie wiadomo gdzie się podział. Cały ten miesiąc przeżył w najwyuzdańszej rozpuszczoności. Na koniec pod jego nieobecność policja znalazła ciało zabitego. Na dziedzińcu, przez całą jego długość, był wykopany kanał do odprowadzania nieczystości, przykryty deskami. Ciało leżało w tym kanale. Trup był odziany, siwa głowa odcięta i przystawiona do tułowia, a pod głowę zabójca podłożył poduszkę. Syn nie przyznał się; pozbawiono go szlachectwa, rangi i zesłano na dwadzieścia lat do ciężkich robót. Przez cały czas mojego z nim pożycia był w najdoskonalszym, najweselszym usposobieniu. Był to rozpuszczony, lekkomyślny, w wysokim stopniu nierozsądny człowiek, chociaż wcale nie głupiec. Nie dostrzegłem w nim nigdy jakiegokolwiek skłonności do okrucieństwa. Aresztanci gardzili nim, nie z powodu zbrodni, o której nawet nie wspominali, ale za lekkomyślność, za to, że nie umiał zachować

przyzwoitych pozorów. W rozmowach wspominał czasem o swoim ojcu. Raz, mówiąc ze mną o tym, że w jego rodzinie zdrowy organizm był dziedziczny, dodał: „Oto mój ojciec do samej śmierci nie skarżył się na żadną dolegliwość”. Taka zwierzęca nieczułość jest naturalnie niemożliwa. Tu jest coś fenomenalnego, jakiś błąd organiczny, jakaś cielesna i moralna potworność, jeszcze nieznana nauce, niezwykła zbrodnia. Ja też nie wierzyłem w tę zbrodnię. Ale ludzie z jego rodzinnego miasta, którzy powinni byli znać wszystkie szczegóły tej historii, opowiadali mi całą sprawę. Fakty były tak jasne, że trudno było nie wierzyć. Aresztanci słyszeli raz, jak on krzyczał w nocy we śnie: „Trzymaj go, trzymaj! W głowę tnij, w głowę, w głowę!”.

Zresztą prawie wszyscy aresztanci mówili i bredzili nocą. Obelgi, złodziejskie terminy, noże, topory słyhać było w tym nocnym bredzeniu. „My naród bity — mawiali — u nas wewnątrz odbite i dlatego krzyczymy po nocach”.

Rządowa katorżna robota forteczna nie była zajęciem, ale obowiązkiem. Aresztant odrabiał nakazaną pracę dzienną albo spędzał na robocie oznaczone prawem godziny i szedł do ostrogu. Na robotę spoglądano z nienawiścią. Bez swego własnego, osobnego zajęcia, któremu by się można było oddać całą duszą, z całym wyrachowaniem, człowiek w ostrogu żyć by nie mógł. Bo i jakim sposobem wszyscy ci ludzie, rozwinięci, którzy mocno życia użyli i mocno żyć pragnęli, przemocą zgonieni w jedną gromadę, przemocą oderwani od społeczeństwa i życia moralnego, jak inaczej mogliby się oni zżyć ze sobą, z własnej woli i ochoty? Z samego próżniactwa rozwinęłyby się tutaj takie zbrodnicze popędy, o których przedtem niejeden nie miał pojęcia. Bez pracy, bez prawem uznanej własności człowiek nie może żyć, rozpuszcza się, przemienia się w zwierzę. I dlatego to każdy w ostrogu, wskutek naturalnej potrzeby i jakiegoś instynktu samozachowawczego, miał swoje rzemiosło i zajęcie. Długi dzień letni cały był zapełniony robotą przymusową, krótka noc ledwie dawała czas do wyspania się. Ale zimą aresztant według przepisów, jak tylko zmrok zaczyna zapadać, powinien być zamknięty w ostrogu. Cóż robić w długie, nudne godziny zimowego wieczora? I dlatego prawie każda kazarma, nie zważając na zakaz, zamieniała się w wielki warsztat. Właściwie praca, zajęcie nie było wzbronione, ale surowo wzbraniano mieć

przy sobie narzędzia, a bez nich praca była niemożliwa. Ale praca odbywała się w największej ciszy i zdaje się, że władza w niektórych razach patrzyła na to przez palce.

Wielu aresztantów przybywało do ostrogu, nic nie umiejąc, ale uczyli się tu od drugich i potem, wyszedłszy z więzienia, byli dobrymi majstrami. Znaleźć tu można było szewców, robiących buty i trzewiki, krawców, stolarzy, ślusarzy, rytowników, złotników. Był jeden Żyd, Izaak Bumsztein, jubiler, a zarazem lichwiarz. Wszyscy oni pracowali i zarabiali grosz jakiś. Zamówienia otrzymywano z miasta. Pieniądz jest brzęczącą swobodą i dlatego dla człowieka zupełnie pozbawionego wolności dziesięć razy droższy. Niech mu brzęczy w kieszeni, on już będzie w połowie zadowolony, choćby go nie mógł tracić. Ale pieniądze można zawsze i wszędzie wydawać, tym bardziej, że owoc zakazany jest podwójnie słodki. A w katordze można było mieć nawet wódkę. Fajki były najsurowiej zabronione, ale wszyscy palili. Pieniądze, tytoń ratowały od szkorbutu i innych chorób. Praca zaś ratowała od zbrodni; bez pracy aresztanci pojedliby się nawzajem jak pająki w szklance. Pomimo tego i praca, i pieniądze były zabronione, a choć pieniądze były starannie ukryte, wpadały jednak czasem w ręce poszukujących. Oto po części dlaczego ich nie oszczędzano, a prędko przepijano; oto dlaczego sprowadzano wódkę do ostrogu. Po każdej rewizji winny nie tylko tracił wszystko, co u niego znaleziono, ale zwykle bywał boleśnie ukarany. Ale natychmiast po każdej rewizji na miejsce utraconych sprowadzano nowe rzeczy i wszystko szło po dawnemu. I władza wiedziała o tym, i aresztanci nie narzekali na kary, chociaż takie życie podobne było do życia ludzi mieszkających na Wezuwiuszu.

Kto nie miał zawodu, wynajdował sobie inne zajęcie przynoszące dochód. Bywały sposoby dość oryginalne. Niektórzy na przykład trudnili się handlarstwem jako przekupnie, a sprzedawały się niekiedy takie rzeczy, których za ostrokołem więziennym nie tylko nie przyszłoby nikomu do głowy sprzedawać i kupować, ale nawet uważać tego za rzeczy. Ale katorga była bardzo biedna i nadzwyczajnie przemysłna. Nawet ostatni strzępek miał jakąś wartość i mógł się na coś przydać. Wskutek ubóstwa i pieniądze w katordze miały zupełnie inną cenę niż na wolności. Za dużą i skomplikowaną pracę płacono groszami. Niektórzy z powodzeniem

uprawiali lichwiarstwo. Aresztant, który się zadłużył i nie miał ani grosza, niósł ostatnie swoje rzeczy do lichwiarza i otrzymywał od niego kilka miedziaków na szalony procent. Jeśli nie wykupił tych rzeczy w terminie, lichwiarz sprzedawał je niezwłocznie, na nic nie mając względu.

Lichwiarstwo tak się rozwinęło, że przyjmowano w zastaw nawet rządowe rzeczy, np. bieliznę, obuwie itp., potrzebne aresztantowi w każdej chwili. Ale przy takich zastawach sprawa brała czasem inny obrót: ten, który dał zastaw i otrzymał pieniądze, natychmiast szedł do starszego podoficera, najbliższego zwierzchnika więziennego, donosił o zastawie rządowych rzeczy i wnet odbierano je od lichwiarza, nie odnosząc się nawet do wyższej władzy. Rzecz ciekawa, że nieraz nie było nawet z tego powodu kłótni; lichwiarz w ponurym milczeniu oddawał, czego żądano, i zdawało się, że sam spodziewał się takiego rozwiązania. Być może, iż czuł w duchu, że nie inaczej by postąpił na miejscu zastawiającego. I dlatego, jeżeli lżył niekiedy potem, to bez gniewu, a tylko jakby dla spełnienia obowiązku.

W ogóle wszyscy kradli wzajem u siebie straszliwie. Prawie każdy miał swój kufer z zamkiem dla schowania rządowych rzeczy. Pozwalano na to; ale kufry nie ratowały. Myślę, że czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jacy zręczni byli tam złodzieje. U mnie jeden aresztant, człowiek szczerze mi oddany (mówię to bez przesady) ukradł Biblię, jedyną książkę, którą wolno było mieć w katordze; tegoż dnia przyznał mi się do złodziejstwa, ale nie przez skruchę, tylko z żalu nade mną, gdy widział, jak długo jej szukałem. Byli tacy, którzy handlowali wódką i prędko się wzbogacali. O tej sprzedaży powiem kiedyś osobno, bo jest godna uwagi. W ostrogu było wielu kontrabandzistów, więc nic dziwnego, że wódka pomimo rewizji i konwojów dostawała się do ostrogu. A kontrabanda jest szczególnego rodzaju przestępstwem. Czy łatwo to na przykład zrozumieć, że u niektórych kontrabandzistów pieniądze, zyski, grają rolę podrzędną, stoją na drugim planie? A tymczasem tak właśnie bywa. Kontrabandzista oddaje się swemu zajęciu z namiętności, z powołania. Jest w nim po części poeta. On wszystko stawia na jedną kartę, wystawia się na groźne niebezpieczeństwo, używa podstępów, tworzy pomysły, wypłatuje się z najtrudniejszych sytuacji; czasem nawet działa jakby pod wpływem natchnienia. Jest to namiętność równie silna jak karciarstwo. Znałem w ostrogu pewnego aresztanta, człowieka olbrzymiej postawy, ale tak dobrego, cichego, pokornego, że trudno było zrozumieć, skąd on wziął się

w ostrogu. Tak mało w nim było złości, tak był uprzejmy, że przez cały czas pobytu w katordze z nikim się nie pokłócił. Ale pochodził z zachodniej granicy, zesłany był do katorgi za kontrabandę i naturalnie nie mógł się oprzeć pokusie i przynosił wódkę. Ileż razy karano go za to i jak się on bał różg! A i zysk przenoszenia wódki był bardzo nędzny; handel wódką wzbogacał tylko przedsiębiorcę. Ale dziwny ten człowieczysko kochał sztukę dla sztuki. Płaczliwy był jak baba i ileż razy bywało, zaklinał się i zarzekał nie nosić kontrabandy. Mężnie pokonywał pokusy nieraz przez cały miesiąc, ale w końcu nie mógł się oprzeć... Dzięki takim to osobistościom nigdy nie brakło w ostrogu wódki.

Na koniec było jeszcze jedno źródło dochodu, które nie wzbogacało wprawdzie aresztantów, ale było stałe i dobroczynne. Mówię o jałmużnie. Wyższa warstwa naszego społeczeństwa nie ma wyobrażenia o tym, jak się opiekują „nieszczęśliwymi” kupcy, mieszczenie i cały nasz lud prosty. Jałmużna jest prawie nieustanna i prawie zawsze w postaci chleba, tak zwanych sajek i kołaczy, daleko rzadziej pieniędzy. Bez tej jałmużny w wielu miejscach byłoby bardzo ciężko aresztantom, szczególnie tym, co jeszcze byli pod sądem i których daleko ściślej trzymają niż skazanych. Jałmużnę z religijną skrupulatnością dzieli się między aresztantów na równe części. Jeśli na przykład liczba kołaczy nie odpowiada liczbie aresztantów, to kołacze kraja się na równe części, czasem nawet na sześć części i każdy więzień musi otrzymać swoją część.

Pamiętam, jak pierwszy raz otrzymałem jałmużnę pieniężną. Było to wkrótce po moim przybyciu do ostrogu. Powracałem z rannej roboty, sam jeden z żołnierzem konwojowym. Na drodze spotkałem idące naprzeciwko mnie matkę i córkę, dziewczynkę lat dziesięciu, piękną jak aniołek. Widziałem już je raz przedtem. Matka była wdową po żołnierzu. Jej mąż, młody żołnierz był pod sądem i umarł w szpitalu aresztanckim, kiedy i ja tam leżałem chory. Żona i córka przychodziły pożegnać się z nim; obie gorzko płakały. Zobaczywszy mnie, dziewczyna zarumieniła się i poszeptala coś do matki. Matka zatrzymała się, odszukała w węzélku ćwierć kopiejki i dała ją dziewczynie. Ta rzuciła się w pogoń za mną. — „Masz, nieszczęśliwy, weź w imię Chrystusa” — wołała, zabiegając mi drogę i wtykając w rękę grosik. Wziąłem go i dziewczynka wróciła do matki zupełnie zadowolona. Ten grosik długo chowałem.

Rozdział II.

PIERWSZE WRAŻENIA

Pierwszy miesiąc i w ogóle początek mego życia w ostrogu żywo mi staje w wyobraźni. Daleko niewyraźniej mającą mi we wspomnieniach późniejsze lata tego życia. Niektóre, zda się, zupełnie zacierają się, zlewają się jedne z drugimi, zostawiając po sobie jedno ogólne wyobrażenie: chwil ciężkich, jednostajnych, duszących.

Ale wszystko, com przeżył w pierwszych dniach katorgi, przedstawia mi się jak coś, co się wczoraj zdarzyło. Rzecz to naturalna.

Pamiętam wyraźnie, że przy samym wstąpieniu w to życie uderzyło mnie to, że nic w nim jakoby nie znalazłem rażącego, nadzwyczajnego, albo właściwiej mówiąc, niespodziewanego. Wszystko to, na co patrzyłem, już przedtem jakby migало w mojej wyobraźni, gdy idąc na Syberię, starałem się odgadnąć moje przyszłe losy. Ale niebawem mnóstwo najdziwniejszych niespodzianek, najpotworniejszych faktów prawie na każdym kroku zaczęło mnie uderzać, i dopiero później, po dłuższym pobycie w ostrogu, zrozumiałem w pełni całą wyjątkowość, całą niespodziewaność tego życia i coraz więcej mu się dziwiłem. Muszę się przyznać, że to zadziwienie towarzyszyło mi przez cały czas katorgi; nie mogłem się z nią nigdy pogodzić.

Pierwsze moje wrażenie przy wejściu do ostrogu było w ogóle najprzykrzejsze, najwstrętniejsze; pomimo tego jednak — rzecz dziwna — wydało mi się, że w ostrogu daleko łatwiej żyć, niż to sobie w drodze na Syberię wyobrażałem. Aresztanci, chociaż w kajdanach, chodzili jednak swobodnie po całym ostrogu, łajali się, śpiewali pieśni, pracowali dla siebie, palili fajki, nawet pili wódkę (choć takich było niewielu), a niektórzy w nocy uprawiali karciarstwo. Sama robota wydała mi się nie tak

ciężka, katorżna i dopiero później pojąłem, że jej ciężar, jej katorżność polega nie na tym, że jest trudna i ciągła, ale na tym, że to praca przymusowa, obowiązkowa, pod kijem. Chłop wolny pracuje nieraz nierównie więcej, czasem i nocami, szczególnie latem; ale pracuje dla siebie, pracuje w rozumnym celu, i jemu nierównie lżej niż katorżnemu robotnikowi w pracy przymusowej i nieprzynoszącej mu żadnej korzyści. Przyszło mi raz na myśl, że gdyby chodziło o to, aby człowieka zupełnie przygnębić, unicestwić, ukarać go najstraszliwiej, tak żeby najgorszy zbój wzdrygał się przed tą karą i z góry drżał przed nią, to należałoby tylko nadać jej charakter zupełnej nieużyteczności i niedorzeczności. Jakkolwiek terażniejsze roboty katorżne nie są dla więźniów interesujące, są dla nich nudne, to jednak same w sobie mają rozumny cel. Aresztant robi cegły, kopie ziemię, tynkuje, buduje; w tej pracy jest jakiś sens i cel. Ale gdyby go na przykład zmusić do przelewania wody z jednego cebra w drugi, a z drugiego w pierwszy, tłuc piasek, przenosić kupę ziemi z jednego miejsca w drugie i odwrotnie — to myślę, że aresztant po kilku dniach udusiłby się albo by tak nabroił, żeby już choć umrzeć i w ten sposób wydobyć się z tego poniżenia, wstydu i męki. Rozumie się, że taka kara zamieniłaby się w torturę i byłaby niedorzeczna, ponieważ nie osiągnęłaby żadnego celu. Ale że pewna doza takiej tortury, niedorzeczności, poniżenia i wstydu jest bezwzględnie w każdej pracy wymuszonej, to i katorżna praca jest nierównie bardziej męcząca od każdej wolnej, dlatego mianowicie, że jest wymuszona.

Zresztą ja wstąpiłem do ostrogu w zimie, w styczniu, i nie miałem jeszcze pojęcia o letniej pracy, pięćkroć cięższej. W zimie zaś w naszej fortecy rządowych robót było w ogóle mało. Aresztanci chodzili nad Irtysz, rozrywać stare rządowe barki, pracowali w warsztatach, odrzucali od rządowych budynków śnieg, nawiany buranami (od wydawcy: tj. porywistym, silnym wiatrem połączonym ze śnieżycą, występującym na obszarze środkowej i południowej Syberii, Uralu i Powołża), palili, tłukli alabaster itd (od wydawcy: alabaster to zbity, dobrze prześwitujący, biały lub nieco zabarwiony minerał będący drobnoziarnistą odmianą gipsu). Dzień zimowy był krótki; praca kończyła się prędko i cały nasz lud wracał wcześniej do ostrogu, gdzie nie miałyby żadnego zajęcia, gdyby mu się nie zdarzało mieć jakiej własnej roboty. Ale własną pracą zajmowała się może tylko trzecia część aresztantów. Inni zbijali baki, włóczyli się po wszystkich

kazarmach ostrogu, łajali się wzajemnie, snuli intrygi, wyprawiali historie, upijali się, jeżeli tylko skądkolwiek choć trochę nasunęło się pieniędzy. Po nocach zgrywali się do ostatniej koszuli, ale wszystko z nudy, z próżniactwa, dla zabicia czasu. Później poznałem, że w życiu katorżnym oprócz pozbawienia wolności i pracy przymusowej jest jeszcze jedna męka, bodaj czy nie cięższa od innych. Tą męką — „przymusowe wspólne pożycie”. Wspólne pożycie jest niewątpliwie i w innych miejscach, ale do ostrogu dostają się ludzie, z którymi nie każdemu chciałoby się zżywać i jestem pewny, że każdy katorżnik odczuwał tę mękę, chociaż może w dużym stopniu nieświadomie.

I strawa z początku wydała mi się dość znośna. Aresztanci zapewniali, że tak dobrej nie ma w aresztanckich rotach Rosji europejskiej. Nie będę o tym wyrokował, bom tam nie był. Wielu przy tym mogło mieć własną żywność. Za wołowinę płaciło się u nas za funt po groszu, latem trzy kopiejki. Ale własny wikt mieli tylko ci, u których ciągle były pieniądze; większość katorgi jadła strawę rządową. Zresztą aresztanci, chwając się swoim wiktem, stosowali te pochwały tylko do chleba i błogosławili ten zwyczaj, że u nas chleb wspólny i nie wydaje się na wagę. Ta waga ich przerażała: przy wydawaniu na wagę trzecia część więźniów byłaby głodna; przy wspólnym zaś chlebie wszystkim wystarczało. Chleb nasz był szczególnie smaczny i słynął z tego w mieście; przypisywano to dobremu urządzeniu pieców w ostrogu. Co się tyczy kapuśniaku, ten był bardzo skromny. Gotowano go w jednym wielkim kotle, zasypywano z lekka krupami i szczególnie w dni powszednie był cienki i chudy. Przerażało mnie wielkie mnóstwo karaluchów w tej potrawie, ale aresztanci nie zwracali na to bynajmniej uwagi.

Przez pierwsze trzy dni nie chodziłem na robotę; tak postępowano z każdym nowo przybyłym: pozwalano mu odpocząć po drodze. Ale nazajutrz po przybyciu musiałem wyjść z ostrogu, aby się dać przekuć. Kajdany, które dotychczas nosiłem, były nie według formy, łańcuchowe, miękozwon (drobne ogniwo), jak je nazywali aresztanci. Noszono je zewnątrz, na ubraniu. Kajdany zaś przepisane dla ostrogu, a stosowane do robót katorżnych, składały się nie z ogni w krągłych, ale z czterech prętów żelaznych, prawie na palec grubych, połączonych ze sobą trzema pierścieniami. Trzeba je było zakładać pod spodnie. Do środkowego

ogniwa przywiązywano rzemień, a ten z kolei był przymocowany do rzemiennego pasa, którym opasana była koszula.

Pamiętam pierwszy poranek w kazarmie. W kordegardzie u wrót ostrogu uderzono w bęben, jako hasło do wstawania, i w dziesięć minut potem podoficer straży więziennej zaczął otwierać kazarmy. Aresztanci zaczęli się budzić. Przy mdłym świetle łojowej świecy podnosili się ze swoich nar, drżąc z zimna: wstawali ze snu, najczęściej milcząc, z ponurym spojrzeniem, poziewali, przeciągali się, marszczyli piętnowane czoła. Niektórzy zegnali się, inni szukali już zaczepki.

Zaduch był straszliwy. Świeże powietrze zimowe uderzyło we drzwi, jak tylko je otworzono, i w kazarmie zakłębiło się od pary. Przy wiadrach z wodą stał tłum aresztantów; po kolei brali dzban, nabierali wody w usta i tą wodą myli twarz i ręce. Woda przygotowana już była z wieczora, przez tak zwanego parasznika. W każdej kazarmie według przepisów był jeden aresztant, wybrany przez towarzyszy dla posług; nazywał się parasznik i nie chodził na robotę. Jego zajęcie polegało na utrzymywaniu czystości w kazarmie, na myciu i szorowaniu nar i podłogi, przynoszeniu i wynoszeniu nocnego cebra oraz na dostarczaniu świeżej wody po dwa wiadra, rano do mycia się, w dzień do picia (od wydawcy: ceber to duże drewniane naczynie z uchwytemi, najczęściej używane do noszenia wody).

Z powodu dzbana, który był tylko jeden, zaczęły się niezwłocznie spory.

— Gdzie leziesz, gamoniu! — burknął jakiś ponury, wysoki aresztant, chudy i ogorzały, z dziwnymi wypukłościami na ogolonej czaszce, odpychając przy tym drugiego, grubego i przysadzistego z wesołą i rumianą twarzą: — Pastoj (poczekaj)!

— Po co wrzeszczysz! Za pastoj u nas trzeba płacić! Poszedł mi stąd! Patrz go, wyciągnął się jak monument. Spójrzcie, kamraci, nie ma w nim ani trochę fantazyjności.

„Fantazyjność” wywołała pewien efekt: wielu zaśmiało się. Tego tylko potrzeba było wesołemu grubasowi, który widocznie był w kazarmie czymś w rodzaju dobrowolnego błazna. Wysoki aresztant popatrzył na niego z najgłębszą pogardą.

— Słomiana krowa! — powiedział jakby do siebie. — Odpasł się na areztanckim czystiaku. Cieszy się, że na Wielkanoc dwanaście prosiąt będzie miał na stole (od wydawcy: czystiak to chleb z czystej mąki, bez jakiegokolwiek domieszki).

Tłuscioch w końcu rozgniewał się.

— A ty, cóżeś to za ptaszek? — zawołał, nagle poczerwieniawszy.

— A właśnie, że ptaszek.

— Jaki?

— Taki.

— Jaki taki?

— Jednym słowem: taki.

— Ale jaki?

Wpili się oczyma w siebie. Tłuscioch czekał na odpowiedź i zacisnął pięści, jakby gotów natychmiast rzucić się do bójki. Myślałem, że naprawdę się pobiją. Wszystko to było dla mnie nowością i z zaciekawieniem patrzyłem na tę scenę. Później przekonałem się, że wszystkie podobne sytuacje były bardzo niewinne i odgrywały się, jak w komedii, dla uciechy publiczności; do bójki zaś prawie nigdy nie dochodziło.

Wysoki areztant stał spokojnie i dumnie: czuł, że na niego patrzą i czekają, czy się zbłąźni odpowiedzią, czy nie; czuł, że trzeba było utrzymać się przy swoim, dowieść, że jest rzeczywiście ptakiem i powiedzieć, jakim konkretnie. Z niewypowiedzianą pogardą spojrział z ukosa na swego przeciwnika, starając się na domiar obrazy popatrzeć na niego przez ramię, z góry na dół, jak na jakiegoś robaka, i wymówił powoli i wyraźnie:

— Kagan!

Znaczyło to, że on jest ptak kagan. Grzmiąca salwa śmiechu powitała pomysłowość areztanta.

— Łajdak jesteś, a nie kagan! — zaryczał tłuscioch, poczuwszy, że został pokonany, i wpadłszy w ostateczną wściekłość. Ale jak tylko zwada stawiała się groźna, zuchów natychmiast osadzono na miejscu.

— Co tam za wrzask podnieśli! — zawołała na nich cała kazarma.

— A wy już lepiej się pobijcie, zamiast tak drzeć gardło — krzyknął ktoś z kąta.

— Poczekaj, pobiją się! — zabrzmiała odpowiedź z tłumu. — U nas ludzie dzielni, zaczepni, w siedmiu się jednego nie boimy...

— A i obaj są dobrzy! Jeden za funt chleba dostał się do ostrogu, drugi śmietanę babie z garnka wyjadł i oberwał za to batem.

— No, no, no! Dosyć tego! — zawołał inwalida, który mieszkał w kazarmie dla utrzymywania porządku i sypiał w kącie na osobnym tapczanie.

— Woda, dzieci! Newalid Piotrowicz zbudził się! Newalidowi Piotrowiczowi, rodzonemu bratu!

— Brat... Co ja tobie za brat? Rublaśmy razem nie przepili, a brat! — mruczał inwalida, narzucając szynel (od wydawcy: czyli rosyjski wełniany mundurowy płaszcz, noszony m.in. przez wojskowych, policjantów i urzędników) na ramiona.

Przygotowywano się do sprawdzenia; zaczęło świtać; w kuchni skupił się gęsty tłum aresztantów, przez który trudno się było przecisnąć. Aresztanci w swoich półkożuszkach i dwubarwnych czapkach gromadzili się koło chleba, który krajał im jeden z kaszowarów (kucharzy). Kaszowarów wybierała spółka aresztancka, do każdej kuchni po dwóch. U nich też przechowywano nóż kuchenny do krajania chleba i mięsa, jedyny na całą kuchnię.

Po wszystkich kątach i za stołami rozsiedli się aresztanci w czapkach, półkożuszkach i podpasani, gotowi wyjść natychmiast na roboty. Przed niektórymi stały drewniane kubki z kwasem (od wydawcy: mowa o kwasie

chlebowym, popularnym zwłaszcza w Rosji, Ukrainie, Białorusi i w krajach bałtyckich). Do kwasu drobiono chleb i popijano z kubków. Gwar i hałas był nieznośny, ale niektórzy przyzwocie i z cicha rozmawiali po kątach.

— Jak się masz, staruszkule Antonyczule! — powiedział młody aresztant, sadowiąc się obok zachmurzonego bezzębego aresztanta.

— No, witaj, jeżeli nie żartujesz — odpowiedział, nie podnosząc oczu i usiłując zżuć chleb swoimi bezzębnymi szczękami.

— A ja, Antonyczule, byłem pewny, żeś ty już umarł; doprawdy.

— Nie, ty naprzód umrzyj, a ja po tobie...

Usiadłem koło nich. Z prawej strony obok mnie rozmawiali dwaj poważni aresztanci, starając się widocznie jeden wobec drugiego zachować jak najwięcej powagi.

— U mnie, nie bój się, nie ukradną — mówił jeden z nich. — Ja, bracie, sam się boję, żeby czego nie ukraść.

— No i mnie też gołą ręką nie tykaj: oparzę!

— I po co masz parzyć. Ja taki sam skazaniec, jak ty; innej nazwy nie mamy... Tu, bracie, i moja kopiejka się umyła. Dawniej sama przyszła. Gdzie się z nią podziać? Zacząłem prosić Fiedkę-oprawcę, tego, co to miał dom na przedmieściu, od Salomonki parszywego, od Żyda kupił, tego, co się potem powiesił.

— Wiem. On u nas w trzecim roku był szynkarzem, a nazywa się Gruszka — ciemny szynk, znam go.

— A właśnie, że nie znasz; to drugi ciemny szynk.

— A jeżeli nie drugi! Ty już wszystko wiesz doskonale. A ja ci tylu świadków przyprowadzę...

— Przyprowadzisz? Ty skąd, a ja czyj?

— Czyj! Bijąłem ciebie nieraz i nie chwałę się, a ty jeszcze: czyj!

— Ty biłeś! Kto mnie pobije, ten się jeszcze nie urodził, a kto bił, ten w ziemi leży.

— Dżuma benderska!

— Żeby cię zaraza sybirska!

— Żeby się z tobą szabla turecka rozmówiła!

I zaczęły się sypać obelgi.

— No, no, no! Zaindyczyli się! — zakrzyczano dokoła. — Na wolności nie umieli żyć, a tu zadowoleni, że się do czystego chleba dobrali...

Natychmiast rozejm. Łajać się, językiem rąbać wolno, stanowi to po części rozrywkę dla wszystkich. Ale do bójki nie zawsze dopuszczają, i chyba tylko w wyjątkowym razie przeciwnicy się pobijają. O bójce doniosą majorowi; zacznie się badanie, przyjdzie sam major — jednym słowem wszyscy na tym źle wyjdą, i dlatego do bójki aresztanci nie dopuszczają. Wreszcie i sami przeciwnicy łają się bardziej dla rozrywki, dla ćwiczenia się w stylu. Nieraz sami siebie oszukują, zaczynają z najgorętszym gniewem, ze wściekłością i... patrząc na nich, myślisz: „Ot, rzuca się na siebie”; a tymczasem nic podobnego się nie dzieje; doprowadzą kłótnię do pewnego punktu i natychmiast się rozchodzą. Wszystko to mnie z początku niezmiernie dziwiło. Umyślnie przytoczyłem tu próbkę najzwyczajniejszych rozmów katorżnych. Nie mogłem z początku zrozumieć, jak można łajać się dla przyjemności i znajdować w tym zabawę. Zresztą, trzeba i to wziąć pod uwagę, że działała tu i próżność. Dialektyk, mistrz w obelgach cieszył się poważaniem; omal że nie oklaskiwano go jak aktora.

Jeszcze wczorajszego wieczora spostrzegłem, że na mnie patrzą krzywo. Pochwyciłem już kilka wrogich spojrzeń, rzuconych w moją stronę. Ale byli i tacy aresztanci, którzy skakali koło mnie, podejrzewając, że przyniosłem ze sobą pieniądze. Natychmiast zaczęli mi wyświadczać rozmaite przysługi: uczyli mnie, jak nosić nowe kajdany; dostali dla mnie, rozumie się za pieniądze, kuferek z zamkiem, ażebym miał gdzie schować

rządowe rzeczy, które mi już wydano, i trochę bielizny, którą ze sobą przyniosłem. Nazajutrz ci sami ukradli go mnie i przepili. Jeden z nich później był mi zupełnie oddany, choć nie przestawał mnie okradać przy pierwszej następczającej się sposobności. Robił to bez żadnego wstydu, prawie nieświadomie, jakby z obowiązku, i niepodobna się było na niego gniewać.

Prócz innych rzeczy nauczyli mnie, że trzeba mieć swoją herbatę, że nieźle by było sprawić sobie imbryk do herbaty, a tymczasem wystarali się o cudzy i rekomendowali mi kucharza, mówiąc, że za trzydzieści kopiejek miesięcznie będzie mi przyrządzał, co mi się podoba, jeżeli zechcę jeść osobno i kupować sobie żywność... Naturalnie pożyczyci u mnie pieniędzy i pierwszego dnia po trzy razy przychodzili do mnie z prośbą o pożyczkę.

W katordze na ludzi ze stanu szlacheckiego patrzą w ogóle niechętnie, a nawet wrogo.

Nie uważając na to, że ci pozbawieni są już wszelkich praw stanu i zupełnie zrównani z innymi aresztantami, aresztanci nie uznają ich nigdy za swoich towarzyszy. Dzieje się to nie wskutek jakiegoś wyraźnego, świadomego uprzedzenia, ale zupełnie nieświadomie, zupełnie szczerze. Oni sami uznawali nas za szlachtę, pomimo że lubili drażnić nas naszą degradacją.

— Nie, teraz już darmo, teraz inaczej. Bywało, Piotr przez Moskwę pędzi, a teraz Piotr sznury kręci — i tym podobne spotykały nas dogadywania.

Z przyjemnością patrzyli na nasze cierpienia, które staraliśmy się przed nimi ukrywać. Szczególnie dostawało się nam z początku przy robocie, za to, żeśmy nie mieli tyle siły, co oni, i żeśmy nie mogli im dorównać w robocie. Nie ma nic trudniejszego, jak pozyskać ufność ludu, i to takiego jeszcze ludu, i zjednać sobie jego miłość.

W katordze było dziesięciu ludzi ze szlachty, w tym pięciu Polaków. O nich powiem kiedyś osobno. Katorżnicy strasznie nie lubili Polaków, więcej nawet niżeli skazańców z rosyjskiej szlachty. Polacy (mówię tylko o politycznych przestępcach) byli względem nich jakoś dziwnie subtelnie,

obrażająco grzeczni, zupełnie dla nich zamknięci i ani trochę nie mogli ukryć swego ku nim wstrętu, co aresztanci bardzo dobrze pojmowali i płacili im podobną monetą.

Ja musiałem przeszło dwa lata przeżyć w ostrogu, zanim udało mi się pozyskać przychylność niektórych katorżników. Ale w końcu większa ich część polubiła mnie i uznała za „dobrego” człowieka.

Z rosyjskiej szlachty oprócz mnie było czterech. Jeden — niski i dziwnie podłe stworzenie, strasznie zepsute, szpieg i donosiciel z zawodu. Słyszałem o nim jeszcze przed dostaniem się do ostrogu i zaraz w pierwszych dniach zerwałem z nim wszelkie stosunki. Drugi — to ten ojcobójca, o którym już wyżej mówiłem. Trzecim był Akim Akimycz (Joachim Joachimowicz); nie wiem czy widziałem kiedy takiego cudaka, jakim był Akim Akimycz. Postać jego silnie się zarysowuje w mojej pamięci. Był wysoki, chudy, tępego umysłu, niesłuchanie mało wykształcony, a lubiący rezonować (od wydawcy: czyli mówić z dużą pewnością siebie), wreszcie akuratny jak Niemiec. Katorżnicy śmiali się z niego, a niektórzy bali się nawet wchodzić z nim w stosunki, lękając się jego przyczepek i kłótności. Od razu zaczął być z nimi za pan brat, łąał się z nimi, nawet bił się. Uczciwy był fenomenalnie. Jak tylko zauważył jakąś niesprawiedliwość, natychmiast wdawał się w sprawę, chociaż go wcale nie dotyczyła. Naiwny był do największego stopnia: na przykład, kłócąc się z aresztantami, wypominał im nieraz, że są złodzieje, i z całą powagą przekonywał, że nie powinni kraść. Służył na Kaukazie jako praporszczyk (od wydawcy: jest to odpowiednik chorążego w polskim wojsku). Zaznajomiłem się z nim od pierwszego dnia i zaraz mi opowiedział swoją historię.

Zaczął służyć na Kaukazie w piechocie, jako junkier (od wydawcy: tj. słuchacz szkoły wojskowej, szlachcic-podoficer, kandydat na oficera), długo czekał na awans; wreszcie mianowano go oficerem i wyprawiono do jakiegoś fortu jako komendanta. Pewne sąsiednie ksiąŜátko kaukaskie, zostając w pokojowych stosunkach z rządem rosyjskim, podpaliło jego fort i napadło na niego w nocy, ale napad się nie powiódł. Akim Akimycz chwycił się podstępu i udał, że nie wie, kto był sprawcą napadu. Winę zwałono na niepodległych Czerkiesów i po miesiącu Akim Akimycz

zaprosił do siebie po przyjacielsku owego księcia w gościnę. Zaproszony przyjechał, nic złego nie podejrzewając. Akim Akimycz uszykował swój oddział, publicznie wobec niego zgromił schwytanego gościa, dowodząc mu, że jest haniebną rzeczą podpalać fortecę; następnie odczytał mu szczegółową instrukcję, jak się ma zachowywać na przyszłość jako sprzymierzeniec rządu, a na zakończenie kazał go rozstrzelać, o czym niezwłocznie doniósł swej władzy ze wszystkimi szczegółami. Za to wszystko oddano go pod sąd i skazano na śmierć, ale wyrok złagodzano i zesłano go na Syberię na lat dwanaście do katorgi drugiego rzędu w fortecach. On zupełnie zgadzał się na to, że postąpił nieprawidłowo, mówił mi, że wiedział o tym i przed rozstrzelaniem księcia, że pokojowego przestępcę należało sądzić według zwykłych praw; ale jakkolwiek wiedział o tym, w żaden sposób nie mógł zrozumieć swojej winy.

— Ale proszę was! Przecież on podpalił moją fortecę? Cóż, czy miałem mu się za to pokłonić, czy co? — mówił mi, odpowiadając na moje zarzuty.

Ale aresztanci, pomimo iż wyśmiewali głupkowatość Akima Akimycza, szanowali go jednak za jego akuratność i biegłość w rzeczach praktycznych.

Nie było rzemiosła, którego by nie znał Akim Akimycz. Był stolarzem, szewcem, malarzem, pozłotnikiem, ślusarzem i wszystkiego tego nauczył się w katordze. A wszystko robił jako samouk: spojrzy raz na jakąś robotę i zaraz to samo robi. Robił skrzynki, koszyki, latarki, dziecinne zabawki i sprzedawał w mieście. Tym sposobem miał zawsze pieniądze i używał ich natychmiast na bieliznę dodatkową, na jakąś miększą od zwykłych poduszkę, zaopatrzył się w składany materac. Umieszczony był w jednej ze mną kazarmie i wyświadczył mi wiele przysług w pierwszych dniach mojej katorgi.

Wychodząc z ostrogu na robotę, aresztanci szykowali się przed kordegardą w dwa rzędy; przed nimi i za nimi stawali w szeregu konwojowi żołnierze z nabitą bronią. Zjawiali się tu: oficer inżynierii, konduktor i kilku niższych urzędników inżynierii, dozorców nad robotami. Konduktor rozdzielał aresztantów na partie i posyłał gdzie potrzeba na robotę.

Razem z innymi udałem się do warsztatu inżynierii. Był tu niziutki budynek z kamienia, stał na wielkim dziedzińcu, zawalonym różnymi materiałami. Była tu kuźnia, był warsztat ślusarski, stolarski, malarski i inne. Akim Akimycz chodził tu i pracował w malarni, warzył oliwę, robił farby i malował stoły i meble na kolor orzecha.

Oczekując przekucia, rozmawiałem z Akimem Akimyczem o pierwszych wrażeniach doznanych przeze mnie w ostrogu.

— Tak, szlachty oni nie lubią — zauważył mój interlokutor — szczególnie politycznych, zagryźć by mogli. Nic dziwnego. Po pierwsze pan jesteś człowiek innego rodzaju, niepodobnego do nich, a po drugie oni wszyscy przedtem byli albo pańscy poddani, albo z wojskowego stanu. Sam więc osądź, czy oni mogą pana polubić? Tutaj, ja panu powiem, żyć trudno. A w rosyjskich aresztanckich rotach jeszcze trudniej. Ot, u nas są ludzie stamtąd i nie mogą się nachwalić naszego ostrogu, rzekłbyś, z piekła dostali się do raju. Nie w robocie nieszczęście. Mówią, że tam w pierwszym oddziale zwierzchność niezupełnie wojskowa, a przynajmniej w inny sposób niż u nas postępuje. Tam, mówią, zesłany może żyć z rodziną. Ja tam nie byłem, ale tak mówią. Nie golą tam, w mundurach nie chodzą, chociaż zresztą to dobrze, że u nas i goleni, i w urzędowym stroju; zawsze to więcej porządku i przyjemniej dla oka. A jednak im się to nie podoba. A proszę też popatrzyć, co to za zbieranina. Jeden z kantonistów, drugi z Czerkiesów, trzeci z raskolników, czwarty prawosławny chłop, rodzinę, dzieci ukochane zostawił we wsi rodzinnej, piąty Żyd, szósty Cygan, siódmy nie wiadomo kto, i wszyscy oni muszą bądź co bądź żyć ze sobą, zgodzić się jeden z drugim, jeść z jednej misy, spać na jednych narach. A i wolność tu jaka: dodatkowy kąsek można zjeść tylko ukradkiem, każdy grosz trzeba chować w cholewę, i wszędzie i zawsze ostróg i ostróg... Mimo woli w głowie się zawróci.

Ale ja już o tym wiedziałem. Przede wszystkim chciałem się podpytać o naszego majora. Akim Akimycz nie robił tajemnicy i pamiętam, że wrażenie, które odniosłem z jego opowiadania, nie było zupełnie przyjemne.

Ale sądzone mi było jeszcze dwa lata przeżyć pod jego władzą. Wszystko, co mi o nim Akim Akimycz opowiadał, okazało się zupełnie

prawdziwe, z tą różnicą, że wrażenie, które rzeczywistość wywiera, jest zawsze silniejsze od wrażenia, wywołanego prostym opowiadaniem. Straszny to był człowiek, a straszny dlatego, że był naczelnikiem z władzą prawie nieograniczoną nad dwustu duszami ludzkimi. Sam w sobie był to tylko nieporządny i zły człowiek, i nic więcej. Na aresztantów spoglądał jak na swoich przyrodzonych wrogów i to był pierwszy i główny jego błąd. Miał rzeczywiście pewne zdolności, ale wszystko, nawet to, co było w nim dobrego, przedstawiało się w jakiejś spaczonyj postaci. Niezdolny panować nad sobą, gniewny, wpadał do ostroga, czasem nawet w nocy, i jeśli spostrzegł, że aresztant śpi na lewym boku lub na wznak, karał go nazajutrz: „Pamiętaj, żebyś spał na prawym boku, jakem rozkazał”. W ostrogu nienawidzono go i bano się jak dżumy. Twarz miał purpurową, gniewną. Wszystkim wiadomo było, że był całkowicie zależny od swego dieńszczyka, Fiedki (od wydawcy: dieńszczyk to w dawnej armii rosyjskiej żołnierz, zazwyczaj szeregowy lub podoficer, pozostający w dyspozycji oficera, do wszelkiego rodzaju posług pomocniczych). Najwięcej ze wszystkiego kochał swego pudła Trezorkę i omal nie oszalał ze smutku, gdy Trezorka zachorował. Mówią, że beczał nad nim jak nad rodzonym synem; odpędził jednego weterynarza i swoim zwyczajem omal, że się z nim nie pobił, a usłyszawszy od Fiedki, że w ostrogu jest aresztant weterynarz-samouk, który leczy bardzo szczęśliwie, natychmiast przywołał go do siebie.

— Pomóż mi! Ozłocę cię, wylecz Trezorkę! — zawołał do aresztanta.

Był to chłop Sybirak, przebiegły, mądry, w istocie bardzo zręczny weterynarz, ale prawdziwy mężczyzna.

— Patrzę ja na Trezorkę — opowiadał potem aresztantom, dość zresztą dawno po tej wizycie u majora, kiedy już cała sprawa była zapomniana: — patrzę: leży pies na kanapie, na białej poduszce; i widzę dobrze, że ma zapalenie, że trzeba by krwi puścić i pies by się wylizał. Ale potem myślę sobie: a co będzie, jak nie wyleczę, jak zdechnie? Nie, mówię, wasze wysokobłagorodie (wielmożny Panie), za późno mnie wezwali, gdyby tak wczoraj albo przedwczoraj, to bym psa wyleczył; a teraz nie mogę, nie wyleczę...

Tak więc zdechł Trezorka.

Opowiadano mi ze szczegółami o zamachu na majora. Był w ostrogu pewien aresztant, który już od kilku lat tu siedział i znany był z cichego zachowania się. Zauważono też, że prawie nigdy z nikim nie rozmawiał, i miano go za niespełna rozumu. Był to człowiek piśmienny i przez cały rok ostatni ciągle czytał Biblię, czytał dniem i nocą. Gdy wszyscy zasypiali, o północy wstawał, zapalał woskową, cerkiewną świecę, włożył na piec, otwierał książkę i czytał do rana. Pewnego dnia poszedł do podoficera i oznajmił mu, że nie chce iść na robotę. Doniesiono majorowi; zakipiał cały i natychmiast sam przyleciał. Aresztant rzucił się na niego z przygotowaną zawczasu cegłą, ale nie trafił. Schwytano go, oddano pod sąd i ukarano. Wszystko to odbyło się bardzo prędko. W trzy dni potem umarł w szpitalu. Umierając, mówił, że nie miał do nikogo złości, chciał tylko pocierpieć. Nie należał zresztą do żadnej sekty raskolników. W ostrogu wspominano o nim z szacunkiem.

Na koniec zmieniono mi kajdany. Tymczasem w warsztacie zjawilo się z kolei kilka przekupek sprzedających kołaczki, tak zwanych kałasznicy. Były między nimi małe dziewczątka. Chodziły one z kołaczami aż do wieku dojrzałego; matki piekły, a one sprzedawały. Dorósłszy, nie przestawały chodzić, ale już bez kołaczy; tak prawie zawsze bywało. Były tam i niedziewczęta. Za kołacz płaciło się grosz i prawie wszyscy aresztanci kupowali.

Zwróciłem uwagę na pewnego aresztanta, już siwego, ale rumianego, i z uśmiechem żartującego z kałasznicy. Przed samym ich przyjściem okręcił był dokoła szyi czerwoną perkalową chustkę. Jakaś gruba i ospowata kobiecina postawiła swój kram na jego stole roboczym. Między nimi zawiązała się rozmowa.

— Cóżście wczoraj tu nie przychodziły? — przemówił aresztant z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

— Tak to, byłam tutaj, a was jak miotłą zmiotł — odpowiedziała rezolutnie kobiecina.

— Nas wezwali gdzie indziej, normalnie byśmy nieodmiennie byli na swoim miejscu... A do mnie dawniej wszystkie wasze przychodziły.

— A któż taki?

— Mariaszka przychodziła, Chawroszka przychodziła, Czekunda przychodziła, Dwugroszowa przychodziła...

— Cóż to znaczy? — spytałem Akima Akimycza. — Czyżby...? Naprawdę?

— Bywa to — odpowiedział, wstydliwie spuściwszy oczy, był to bowiem człowiek bardzo skromny.

Niewątpliwie zdarzało się to, ale nader rzadko, i połączone było z wielkimi trudnościami. W ogóle więcej było ochotników do wypicia niż do takich rzeczy, pomimo całej naturalnej uciążliwości zamkniętego życia.

Do kobiet trudno się było dostać. Potrzeba było wyszukiwać czas, miejsce, umawiać się, naznaczać schadzki, szukać samotności, co było rzeczą trudną, nakłaniać konwojowych, co było jeszcze trudniej, tracić — jak na więzienne warunki — mnóstwo pieniędzy. A jednak udawało mi się potem być niekiedy świadkiem scen miłosnych. Pamiętam, pewnego razu latem byliśmy we trzech w jakiejś szopie na brzegu Irtyszu, żeby palić w piecu fabrycznym; konwojowi byli dobrymi ludźmi. Na koniec zjawiły się dwie „suflery”, jak je nazywają aresztanci.

— No, co się tak zasiedziały? Pewno u Zwierkowych? — powitał ich tymi słowy aresztant, do którego przyszły, a który już dawno ich oczekiwał.

— Ja zasiedziałam się? Sroka na kołku dłużej siedzi, niż ja u nich siedziałam — odpowiedziała wesoło dziewczyna.

Była to najbrudniejsza dziewczyna na świecie. Ją to zwano Czekundą. Z nią razem przyszła Dwugroszowa. Tę trudno już nawet opisać.

— I z panienką już dawno się nie widziałem — ciągnął dalej Don Juan aresztancki, zwracając się do Dwugroszowej. — Cóż to tak wyglądacie, jakbyście schudli?

— A może być. Dawniej tom była gruba, a teraz jakbym igłę połknęła.

— Ciągłe z żołnierzami?

— Nie, to już wam o nas źli ludzie napletli; a zresztą cóż? Przysłowie mówi: choćby bez żebra chodzić, a żołnierzyka lubić.

— Wy ich rzućcie, a nas kochajcie; u nas są pieniądze...

Dla uzupełnienia obrazu trzeba sobie wyobrazić tego lowelasa ogolonego, w kajdanach, w łatanym stroju aresztanckim i pod konwojem.

Pożegnałem się z Akimem Akimyczem i dowiedziawszy się, że mogę wrócić do ostrogu, wziąłem konwojowego i poszedłem do domu. Aresztanci już się schodzili. Naprzód wracali z roboty ci, co mieli zadaną na dzień robotę. Jedynym sposobem zmuszenia aresztanta do gorliwej pracy jest zadanie mu pracy dziennej. Rozmiar zadanej pracy bywał czasem ogromny, a jednak i w takim razie kończyli go aresztanci dwa razy prędzej, niż gdyby im kazano pracować zwykłym trybem do uderzenia w bęben. Skończywszy zadaną robotę, aresztant bez przeszkody szedł do domu i nikt go już nie zatrzymywał.

Obiad jedzą nie razem, ale jak się zdarzy, zależnie od tego, kto wcześniej przyszedł, a i w kuchni nie zmieściliby się wszyscy. Pokosztowałem kapusty, ale nie przywykły do niej, nie mogłem jej jeść i zaparzyłem sobie herbaty. Siedliśmy przy końcu stołu. Ze mną był jeden towarzysz, również jak ja, ze szlachty.

Aresztanci przychodzili i wychodzili. Było zresztą dość miejsca; jeszcze się wszyscy nie zebrali. Gromadka złożona z pięciu ludzi usiadła oddzielnie za wielkim stołem. Kucharz nalał w dwie miski kapuśniaku i postawił przed nimi na stole cały rondel gliniany ze smażoną rybą. Obchodzili jakąś uroczystość i jedli swoje potrawy. Na nas spojrzeli z ukosa. Wszedł jeden z Polaków i usiadł przy nas.

— W domu nie byłem, a wiem wszystko — zawołał na cały głos jakiś aresztant, wchodząc do kuchni i ogarniając wzrokiem wszystkich obecnych.

Miał lat z pięćdziesiąt, był muskularny i chudy. Z twarzy przeświecała złośliwość i wesołość zarazem. Szczególnie zwracała na siebie uwagę jego

dolna warga, gruba i obwisła i nadawała niezmiernie komiczny wyraz twarzy.

— No, zdrowo nocleg odbyli! Cóż nie pozdrawiacie? Naszym kurskim — dodał, sadowiąc się obok obiadujących własnym kosztem — chleb i sól! Witajcież gościa!

— Ale my, bracie, nie kurscy.

— Więc tambowskim.

— I nie tambowscy. Od nas, bracie, nic ci się nie dostanie. Ty idź do bogatego chłopca i tam proś.

— W brzuchu dziś u mnie, bracie, Iwan Obżartuch i Maria Głodomorówna; a gdzież ten bogaty chłopca mieszka?

— A tam, Gazin, bogaty kmieć; do niego ruszaj.

— Hula dziś, bracia, Gazin, pije bez pamięci; cały worek przepija.

— Dwadzieścia rubli ma w kieszeni — zauważył drugi. — Dobrze to, bracia, być szynkarzem.

— Cóż, nie przyjmiecie gościa? No, to będę rządowe połykał.

— Idź, poproś herbaty. O tam panowie piją.

— Jacy panowie? Tu nie ma panów; tacy sami teraz, jak my — wrogo odezwał się jakiś aresztant siedzący w kącie. Dotychczas nie przemówił ani słowa.

— Napiłbym się herbaty, ale wstyd mi prosić: my z ambicją! — powiedział aresztant z grubą wargą, dobrodusznie patrząc na nas.

— Jeżeli chcecie, to wam dam — zwróciłem się z zaproszeniem do aresztanta, który się przymawiał. — Cóż, macie ochotę?

— Czy mam ochotę? Jeszcze jaką! — I podszedł do naszego stołu.

— Widzisz go, w domu łapciem kapuśniak łykał, a tu do herbaty się dobrał; pańskiego picia się zachciało — przemówił chmurny arezquant.

— A czyż tutaj nikt nie pije herbaty? — spytałem. Ale on nie raczył mi odpowiedzieć.

— Oto i kołacze niosą. Poczęstujcie i kołaczykiem.

Wniesiono kołacze. Młody arezquant niósł całą wiązkę i sprzedawał, obchodząc ostróg. Kałasznica ustąpiła mu dziesiąty kołacz i właśnie na ten zysk liczył.

— Kołacze, kołacze — wołał, wchodząc do kuchni — moskiewskie, gorące! Sam bym jadł, ale pieniędzy nie mam. No, dzieci, ostatni kołacz został: który z was miał matkę?

To odwołanie się do macierzyńskiej miłości rozśmieszyło wszystkich i wzięto u niego kilka kołaczy.

— A co, bracia — powiedział — wszak ten Gazin dohula się dzisiaj grzechu! I w porę hulać mu się zachciało. A nuż ośmiooki przyjedzie.

— Schowają. A co, mocno pijany?

— Ale gdzie! Zły, czepia się.

— No, to dohula się bęcków...

— O kim to oni mówią? — spytałem Polaka, który siedział obok mnie.

— To Gazin, arezquant. On tu handluje wódką. Jak tylko nazbiera pieniędzy, natychmiast przepija. Zły jest i dziki; w trzeźwym stanie spokojny, ale gdy się upije, cały na wierzchu; na ludzi z nożem się rzuca. Wtedy go już uśmierzają.

— Jakże go uśmierzają?

— Rzuca się na niego z dziesięciu arezquantów i zaczynają bić straszliwie, i biją dopóty, dopóki nie straci przytomności, to jest prawie na

śmierć. Wtedy kładą go na narach i przykrywają półkożuszkiem.

— Przecież w ten sposób mogą go zabić?

— Innego by zabili, ale nie jego. Jest niesłychanie silny, najsilniejszy w całym ostrogu, i dziwnie mocnej budowy ciała. Nazajutrz rano wstaje zupełnie zdrowy.

— Powiedzże mi pan, proszę — rozpytywałem się dalej Polaka — wszak oni także jedzą swoje potrawy, a ja piję herbatę. A jednak patrzą na mnie jakby z zawiścią z powodu tej herbaty. Co to znaczy?

— To nie z powodu herbaty — odpowiedział Polak. — Oni źli są na pana, żeś szlachcic i do nich niepodobny. Wielu z nich chciałoby się przyczepić do pana, obrazić czymś, poniżyć. Jeszcze pan tu dozna wielu nieprzyjemności. Nam tu wszystkim niezmiernie ciężko, daleko ciężiej pod każdym względem aniżeli innym. Potrzeba dużo zimnej krwi, żeby się z tym oswoić. Wiele jeszcze spotka pana nieprzyjemności i za herbatę, i za oddzielną żywność, pomimo że tu bardzo wielu i bardzo często spożywa swoje potrawy, a niektórzy stale piją herbatę. Im wolno, a panu się nie godzi.

Powiedziawszy to, wstał i odszedł od stołu. W kilka minut potem spełniły się jego słowa.

Rozdział III.

PIERWSZE WRAŻENIA

Tylko co wyszedł M-ki (ten Polak, który ze mną rozmawiał), gdy Gazin, zupełnie pijany, wвалиł się do kuchni.

(od wydawcy: Dostojewski ma tutaj na myśli Aleksandra Mireckiego. Kryptonimy pozostałych Polaków, którzy odbywali wyrok z Dostojewskim to: Ż-ki – czyli profesor Żochowski, T-ki – Józef Tokarzewski, B-ki – Józef Bogusławski, B-m – Karol Bem, oraz A-czukowski – tj. Józef Anczykowski. Dostojewski wymienia jeszcze dwóch innych młodych ludzi, ale bezimiennie)

Pijany aresztant, w biały dzień, w dzień powszedni, kiedy wszyscy obowiązani byli wychodzić na robotę, przy srogim naczelniku, który każdej chwili mógł przyjechać do ostrogu, przy podoficerze, który miał nadzór nad katorżnymi i przebywał ciągle w ostrogu; przy strażnikach, przy inwalidach, jednym słowem, przy wszelkiej surowości więziennej — zupełnie splątywał wszelkie pojęcia o życiu aresztanckim, które zaczęły się wytwarzać w mojej głowie. I długo trzeba mi było pożyć w ostrogu, zanim wyjaśniły mi się te fakty, tak zagadkowe dla mnie w pierwszych dniach katorgi.

Powiedziałem już, że aresztanci mieli zwykle jakąś własną robotę i że to zajęcie było konieczną potrzebą życia w katordze; że oprócz tego aresztant namiętnie lubi pieniądze i ceni je nad wszystko, prawie na równi z wolnością, i że jest uszczęśliwiony, jeśli mu one brzęczą w kieszeni. Przeciwnie, gdy ich nie ma, ogarnia go smutek, niepokój, upada na duchu, jest w rozpaczliwym usposobieniu, i wtedy gotów jest kraść, gotów na wszystko, byle je dostać. Ale nie zważając na to, że pieniądze w ostrogu były tak wielkim skarbem, u szczęśliwca, który je posiadał, nigdy się nie

zależały. Naprzód trudno je było tak ukryć, aby ich nie ukradziono lub nie odebrano. Jeżeli wpadła niespodziewana rewizja i major doszukał się pieniędzy, natychmiast je zabierał. Co z nimi robił? Czy używał ich do ulepszenia aresztanckiej żywności? To wiem przynajmniej, że mu je oddawano. Ale najczęściej kradziono pieniądze; nikomu nie można było zaufać. Później znalazł się i u nas zupełnie bezpieczny sposób przechowywania pieniędzy. Oddawano je na przechowanie pewnemu starcowi, starowiercowi, który przybył do nas ze słobód starodubowskich i należał do tak zwanych wietkowców... Ale nie mogę się oprzeć chęci powiedzenia o nim kilku słów, chociaż odrywam się od głównego toku opowiadania.

(od wydawcy: słoboda to nowo powstała w Ukrainie i w Rosji osada z własnym samorządem, zwolniona na określony czas ze świadczeń materialnych na rzecz np. Państwa czy kościoła; wietkowcy natomiast byli jedną z ważniejszych w XVIII wieku wspólnot staroobrzędowców prawosławnych, jej członkowie zamieszkiwali lasy w regionie miasta Starodub)

Był to staruszek sześćdziesięcioletni, maleńki, siwiutki. Postać jego od pierwszego wejrzenia silnie mnie uderzyła. Nie był ani trochę podobny do innych aresztantów. W jego wzroku było coś tak spokojnego i cichego, że pamiętam, ze szczególną przyjemnością wpatrywałem się w jego jasne, pogodne oczy, otoczone drobnymi, w promienie układającymi się zmarszczkami. Często z nim rozmawiałem i rzadko kiedy w życiu spotykałem równie dobrą, szlachetną istotę. Przysłano go tu za nadzwyczaj ciężkie przestępstwo. Między starodubowskimi staroobrzędowcami zaczęli się pojawiać nawróceni. Rząd silnie ich protegował i dokładał wszelkich starań, aby i innych odstępców od wiary prawosławnej nawrócić. Starzec wraz z innymi fanatykami postanowił „stać za wiarę”, jak się sam wyrażał. Zaczęto wówczas budować jedynowierną (tj. prawosławną) cerkiew i oni ją spalili. Starzec jako jeden z głównych sprawców zesłany został do katorgi. Był zamożnym mieszczaninem, trudnił się handlem; w domu zostawił żonę, dzieci; ale ze spokojem w duszy poszedł na ciężkie roboty, ponieważ w zaślepieniu swoim widział w nich „mękę za wiarę”.

Przeżywszy z nim czas jakiś, mimo woli trzeba było zadać sobie pytanie: jak ten pokorny, dobry jak dziecko człowiek mógł zostać buntownikiem? Kilka razy nawiązywałem z nim rozmowę „o wierze”. Starzec nic nie ustępował ze swoich przekonań; ale w jego odpowiedziach nie było nigdy ani cienia złości, ani śladu nienawiści. A jednak zburzył cerkiew i wcale się tego nie zapierał. Zdawałoby się, że ze swego stanowiska ten postępek i „męki”, które były jego następstwem, powinien uważać za wielki czyn. Ale jakkolwiek starałem się spojrzeć w głąb jego duszy, jakkolwiek go studiowałem, nie mogłem w nim znaleźć ani odrobiny próżności lub dumy. Mieliśmy w ostrogu i innych starowierców, głównie Sybiraków. Byli to ludzie bardzo rozwinięci, chłopy chytre, nadzwyczaj biegli w Piśmie Świętym, trzymający się litery i na swój sposób wielcy dialektycy; ludzie pyszni, zarozumiali, złośliwi i nietolerancyjni w najwyższym stopniu. Zupełnie inny był ów starzec. Oczytany w Piśmie Świętym więcej może od nich, usuwał się od sporów. Uspodobienie miał nadzwyczaj towarzyskie. Był wesoły, często śmiał się, nie tym grubym, cynicznym śmiechem, jakim śmiali się katorżnicy, ale jasnym, cichym, w którym wiele było dziecinnej prostoty, który wybornie przystawał do siwych włosów. Może się mylę, ale zdaje mi się, że po śmiechu można poznać człowieka i jeśli przy pierwszym spotkaniu z człowiekiem zupełnie nieznanym jego śmiech sprawia przyjemne wrażenie, to śmiało można utrzymywać, że to dobry człowiek.

W całym ostrogu staruszek pozyskał powszechnie poważanie, którym bynajmniej się nie chełpił. Aresztanci nazywali go dziaduniem, dieduszka, i nigdy go nie krzywdzili. Zrozumiałem po części, jaki mógł wpływ wywierać na swoich współwyznawców. Ale pod zewnętrznym spokojem, z jakim znosił życie katorżne, tkwił w nim głęboki, nieuleczony żal, który on starał się utaić przed wszystkimi. Mieszkałem razem z nim w jednej kazarmie. Pewnego razu o godzinie trzeciej w nocy zbudziłem się i usłyszałem cichy, powstrzymywany płacz. Starzec siedział na piecu (na tym samym, na którym przedtem siadywał ów modlący się nocami aresztant, który chciał zabić majora) i modlił się ze swojej pisanej książki. Płakał i słyszałem, jak chwilami mówił: „Panie, nie opuszczaj mnie! Panie, umocnij mnie! Dzieci moje małe, dzieci moje miłe, nigdy ja ich nie zobaczę!”. Nie umiem wypowiedzieć, jaki smutek ścisnął mi serce.

Otóż temu starcowi z czasem prawie wszyscy aresztanci zaczęli oddawać swoje pieniądze na przechowanie. W katordze prawie wszyscy byli złodziejami, ale naraz wszyscy nie wiadomo skąd nabrali przekonania, że starzec nie może nic ukraść. Wiedziano, że gdzieś ukrywał wręczone sobie pieniądze, ale w takim utajonym miejscu, że nikt nie potrafił ich znaleźć. Później kiedyś mnie i niektórym Polakom wyjawiał swoją tajemnicę. W jednym z palów był mały sęk, z pozoru mocno zrosnięty z drzewem. Ale sęk można było wyjąć, a pod nim ukazywało się wielkie zagłębienie. Tam to dziadunio chował pieniądze i zakładał sęk na powrót tak, że nikt nigdy nie mógł się domyśleć schowanych tam pieniędzy.

Ale oddaliłem się od opowiadania. Zatrzymałem się na tym, dlaczego pieniądze nie trzymały się kieszeni aresztanta. Oprócz trudności ukrycia ich trzeba pamiętać, że w ostrogu tak ciężko było żyć; aresztant zaś to z natury swojej istota tak pragnąca swobody, a z położenia społecznego tak lekkomyślna i nierządna, że go coś ciągnie wewnątrz, aby pohulać na cztery wiatry, z szumem i muzyką, puścić cały kapitał i choć na chwilę zapomnieć o ucisku gniotącym serce. Dziwna to rzecz była, jak niejeden pracował, nie podnosząc karku nieraz całymi miesiącami, jedynie po to, ażeby potem jednego dnia puścić cały zarobek do ostatniego grosza, i znowu potem uginał kark do roboty na kilka miesięcy — do nowej hulanki. Wielu z nich lubiło sprawiać sobie nowe ubranie, i to zawsze nieurzędowej formy: jakieś czarne spodnie, kaftany, sybirkki. W wielkim użyciu były perkalowe koszule i pasy z miedzianymi blachami. Strojono się zwykle w święta i ustrojony przechodził zawsze przez wszystkie koszary, aby się pokazać światu. Zadowolenie z dobrego ubrania dochodziło do dziecinady; zresztą aresztanci pod wielu względami bardzo podobni byli do dzieci. Tymi jednak pięknymi rzeczami właściciel niedługo się cieszył; znikają one nagle, czasem tego samego wieczora szły w zastaw, oddawane za bezcen.

Hulanka zresztą rozwijała się stopniowo. Odbывała się zwykle w dni świąteczne albo w dzień imienin hulającego. Aresztant solenizant, wstając rano, stawiał świeczkę przed obrazem i modlił się, potem wystrajał się i zamawiał dla siebie obiad. Kupowało się wołowinę, rybę, robiło się sybirskie pieleni; solenizant najadał się jak wół, prawie zawsze sam, rzadko kiedy zapraszając towarzyszy do udziału w uczcie. Potem zjawiała się wódka: solenizant upijał się jak bela i nieodmiennie chodził po

koszarach, zataczając się i potykając, i starał się pokazać wszystkim, że on pijany, że on „hula”, i w ten sposób zjednać sobie powszechne poważanie. Lud rosyjski w ogóle ma pewne współczucie dla pijanego; w ostrogu zaś do rozhulanego budził się pewien szacunek. W tym hulaniu aresztanckim był pewnego rodzaju arystokratyzm.

Podochociwszy sobie, aresztant najmował zaraz muzykę. Był w ostrogu jakiś Polak, dezterter z wojska, bardzo nędznej postaci, który grał na skrzypcach i miał ze sobą instrument — jedyną swoją własność. Nie znał żadnego rzemiosła i zarabiał tylko w ten sposób, że najmował się hulakom do grania wesołych tańców. Czynność, do której się zobowiązywał, polegała na tym, żeby nieodłącznie ślad w ślad za swoim pijanym pryncypałem chodzić z kazarmy do kazarmy i z całej mocy rzępolić na skrzypcach. Na twarzy jego często malowała się nuda i zmęczenie. Ale okrzyk: „Graj, pieniądześ wziął!” zmuszał go, żeby znowu rzępolić i rzępolić.

Aresztant, zaczynając hulankę, mógł być pewny, że jeśli się bardzo upije, to niewątpliwie rozciągną nad nim opiekę, w czas spać ułożą, a gdyby się zjawiła zwierzchność, ukryją gdzieś, i to zupełnie bezinteresownie. Z drugiej strony podoficer i inwalidzi, mieszkający w ostrogu dla dozoru, mogli być zupełnie spokojni, że pijany nie przyczyni im kłopotu: nad nim czuwała cała kazarma i gdyby zaczął rozbijać, buntować się, natychmiast by go uśmierzone, a w razie potrzeby nawet związano. Dlatego niższe władze w ostrogu patrzyły na pijaństwo przez palce, nie chciały zwracać na nie uwagi. Wiedziały one bardzo dobrze, że gdyby wzbroniono wódki, byłoby jeszcze gorzej. Ale skąd się brała wódka?

Kupowano ją w samym ostrogu, u tak zwanych „całowników”, tj. szynkarzy. Było ich kilku i handel swój prowadzili nieustannie i z powodzeniem, pomimo że pijących i „hulających” było w ogóle niewiele, ponieważ hulanie wymagało pieniędzy, a dla aresztantów pieniądze były niełatwe do zdobycia. Handel ten zaczynał się, rozwijał i kończył dość oryginalnym sposobem. Przypuśćmy, że jakiś aresztant nie ma rzemiosła i że mu się nie chce pracować (bywali tacy), ale chce mieć pieniądze, a przy tym człowiek niecierpliwy, chciałby jak najprędzej dorobić się. Ma trochę pieniędzy na początek i postanawia handlować trunkiem: przedsięwzięcie

śmiało i bardzo ryzykowne. Można było za to zapłacić grzbietem, a zarazem utracić towar i kapitał. Ale całowałnik ryzykuje. Pieniędzy z początku niewiele i dlatego pierwszy raz sam przenosi wódkę do ostrogu i, rozumie się, sprzedaje ją korzystnie. Tę próbę ponawia po raz drugi i trzeci i jeżeli nie wpadnie w ręce straży, to prędko się dorabia, i wtedy dopiero rozwija handel na szeroką skalę; staje się przedsiębiorcą, kapitalistą, trzyma agentów i pomocników, ryzykuje daleko mniej, a ciągnie coraz większe zyski. Ryzykują za niego pomocnicy.

W ostrogu bywa zawsze dużo ludzi, co się zgrali, strwonili, przehulali wszystko do ostatniej kopiejki, ludzi bez rzemiosła, nędznych i oberwanych, ale obdarzonych do pewnego stopnia śmiałością i stanowczością. Takim ludziom za kapitał pozostaje jedna tylko rzecz: ich własny grzbiet; może się on na coś jeszcze przydać, i ten to ostatni swój kapitał hulaka bez grosza postanawia puścić w obrót. Idzie do przedsiębiorcy i najmuje się do przenoszenia wódki do ostrogu; bogaty handlarz ma kilku takich robotników. Gdzieś za ostrogiem jest człowiek — żołnierz, mieszczanin, czasem nawet dziewczka — który za pieniądze przedsiębiorcy i za stosunkowo niemałą zapłatę, kupuje w szynku wódkę i ukrywa ją w ustronnym miejscu, dokąd aresztanci przychodzą na robotę. Prawie zawsze dostawca próbuje naprzód trunku i co nadpił, dolewa niemiłosiernie wodą; nie chcesz brać? — nie bierz. Ale aresztant nie może być wybredny; i to szczęście, że pieniądze nie całkiem przepadły, że jest wódka; jaka jest, taka jest, ale zawsze wódka. Do tego to dostawcy przychodzą, wskazani mu naprzód przez szynkarza z ostrogu przenosiciele, z wolimi kiszkami. Kiszki te naprzód się przemywa, potem napełnia się wodą, aby zachowały pierwotną wilgotność i rozciągliwość i mogły służyć do przenoszenia wódki. Nalawszy do nich wódki, aresztant okręca je wokół siebie, przy czym ma sposobność okazać całą zręczność, całą złodziejską przebiegłość kontrabandzisty. Chodzi tu o jego honor; musi oszukać i konwojowych, i straż stojącą u bramy więziennej. I oszukuje: u dobrego złodzieja konwojowy, czasem jakiś rekrucik, nie dopatrzy się kontrabandy. Rozumie się, że konwojowy bywa przedtem wybadany, bierze się też pod uwagę czas, miejsce roboty. Na przykład aresztant piec muruje, na piec wlezie: któż go dojrzy, co on tam robi? Konwojowy przecież za nim nie polezie. Podchodząc do ostroga, aresztant trzyma w dłoni pieniądz, piętnaście, dwadzieścia kopiejek srebrnych, na wszelki wypadek, i czeka u

bramy na gefrajtera (starszego szeregowego). Każdego aresztanta, który wraca do ostrogu, pilnujący gefrajter opatruje wkoło, rewiduje i dopiero potem otwiera mu drzwi ostrogu. Ten, który przenosi wódkę, liczy zwykle na to, że rewidowanie nie będzie zbyt ściśle i szczegółowe; ale przebiegły gefrajter doszukuje się czasem zakazanego towaru, a wtedy pozostaje ostatni środek: kontrabandzista milczkiem i tak, żeby konwojowy nie widział, wsuwa gefrajterowi w rękę przygotowany pieniądz. Zdarza się, że dzięki takiemu manewrowi przechodzi szczęśliwie do ostrogu i przenosi wódkę. Ale niekiedy manewr się nie udaje i wtedy trzeba spłacić się ostatnim kapitałem, to jest grzbietem. Donoszą majorowi, kapitał sieką boleśnie, wódkę zabierają na rzecz rządu i kontrabandzista przyjmuje wszystko na siebie, nie wydając przedsiębiorcy. Ale nie wydaje nie dlatego, żeby się brzydził donosem, a jedynie dlatego, że nie widzi w tym żadnej korzyści: jego i tak by wysieczono; cała pociecha polegałaby tylko na tym, że miałby towarzysza niedoli. Tymczasem przedsiębiorca jest mu jeszcze potrzebny, chociaż według zwyczaju i z góry zawartej umowy kontrabandzista za wysieczony grzbiet nie otrzymuje od przedsiębiorcy ani kopiejki.

Co się zaś tyczy w ogóle donosów, to one zazwyczaj kwitną w ostrogu. Donosiciel bynajmniej nie ściąga tu na siebie wzgardy; nie można sobie nawet wyobrazić, żeby aresztanci mogli się na niego oburzyć. Nie stronią od niego, wchodzą z nim w przyjacielskie stosunki i gdyby ktoś chciał w ostrogu dowodzić całej brzydoty donosicielstwa, to wcale by go nie zrozumiano. Ten aresztant ze szlachty, zepsuty i podły, z którym zerwałem wszelkie stosunki, znał się dobrze z dieńszczykiem majora, Fiedką, i służył mu za szpiega, a dieńszczyk wszystko, co posłyszał o aresztantach, donosił majorowi. U nas wszyscy o tym wiedzieli i nikomu nigdy nawet na myśl nie przyszło ukarać niegodziwca albo przynajmniej zganić go za to.

Ale zboczyłem z drogi. Zdarza się naturalnie, że wódka szczęśliwie dostaje się do ostrogu; wtedy przedsiębiorca odbiera przyniesione kiszki, zapłaciwszy za transport, i zaczyna obliczać. Z obliczenia okazuje się, że towar go już drogo kosztuje, a więc dla lepszych zysków przelewa jeszcze raz wódkę, rozprowadzając wodą niemal na połowę, i w ten sposób zupełnie się przygotował, czeka na kupujących. Kupujący zjawia się w pierwsze święto, czasem w dzień powszedni: to aresztant, który przez kilka

miesiące pracował jak wół roboczy i zebrał trochę grosza, aby go przepić w dzień z góry przez siebie oznaczony. Ten dzień na długo przed swoim nadejściem śnił się biednemu robotnikowi, obraz jego unosił się w szczęśliwych marzeniach przy pracy i swym urokiem pokrzepiał ducha robotnika wśród ciężkich warunków życia więziennego. Na koniec zorza tego dnia jasnego ukazuje się na wschodzie; pieniądze zebrane, nieskonfiskowane, nieukradzione i aresztant niesie je do szynkarza. Ten naprzód daje mu wódki według możliwości najczystszej, czyli dwa razy tylko rozproszoną wodą; ale w miarę ubywania jej z butelki, reszta natychmiast uzupełniana jest wodą. Za kieliszek gorzałki płaci się pięć, sześć razy drożej niż w szynku. Łatwo sobie wyobrazić, ile trzeba wypić takich kieliszków i ile za nie zapłacić, aby się upić. Ale wskutek odwyknienia od trunków, wskutek dłuższej wstrzemięźliwości, aresztant łatwo dostaje zawrotu głowy i zwykle pije dopóty, dopóki nie przepije wszystkich pieniędzy. Wtedy przychodzi kolej na fanty: szynkarz jest zarazem i lichwiarzem. Naprzód przechodzą do niego nowo sprawione stroje nieurzędowe, potem stare szmaty, w końcu i rządowe rzeczy. Przepiwszy wszystko do ostatniego strzępka, pijak kładzie się spać, a nazajutrz, zbudziwszy się z nieuniknionym szumem w głowie, nadaremnie błaga szynkarza choćby o jeden łyk wódki dla spędzenia niesmaku. Smutno znosi niepowodzenie i tego samego dnia zabiera się na nowo do roboty; znów przez kilka miesięcy pracuje, nie rozprostowując karku, marząc o szczęśliwym dniu hulanki, który utonął w wieczności, i powoli zaczyna się krzepić i oczekiwać drugiego takiego dnia, który wprowadzi jeszcze daleko, ale kiedyś nadejdzie jego kolej.

Co się tyczy szynkarza, ten uzyskawszy z handlu ogromną sumę, jakichś kilka dziesiątków rubli, sprowadza po raz ostatni wódkę, ale tym razem nie rozcieńcza jej wodą, ponieważ przeznacza ją dla siebie; dosyć handlu: czas już samemu się uraczyć! Zaczyna się hulanka, picie, jedzenie i muzyka. Środki wielkie; można pozyskać dla siebie pobłażliwość najniższej i najbliższej zwierzchności w ostrogu. Hulanka ciągnie się niekiedy przez kilka dni. Rzecz naturalna, że wódka, którą szynkarz sprowadził dla siebie, prędko zostaje przepita; wtedy hulaka zwraca się do innych szynkarzy, którzy już czekają na niego, i pije dopóty, dopóki nie przepije wszystkiego do ostatniej kopiejki. Chociaż aresztanci roztaczają opiekę nad hulającym, zdarza się jednak, że wpadnie w oczy majorowi lub oficerowi straży

więziennej. Biorą go wtedy do kordegardy (czyli budynku straży wojskowej), odbierają pieniądze, jeżeli jeszcze ma jakieś przy sobie, i w dodatku biją. Otrząsnąwszy się, powraca do ostrogu i po kilku dniach ima się na powrót rzemiosła szynkarskiego.

Niektórzy z hulaków, naturalnie bardzo bogaci, sięgają marzeniami i do płci pięknej. Wielkim kosztem, potajemnie, w towarzystwie przekupionego żołnierza z konwoju, udają się z fortecy zamiast na robotę do jakiegoś ustronnego domku na przedmieściu, na końcu miasta, gdzie urządzi się wspaniałą ucztę i gdzie w grę wchodzi rzeczywiście wielkie sumy. Dla pieniędzy płeć piękna nie gardzi i aresztantem; konwojowego zaś dobiera się zawczasu, ze znajomością rzeczy. Tacy konwojowi zwykle są przyszłymi kandydatami do ostrogu. Zresztą za pieniądze można wszystko zrobić i takie wędrowniki toną zwykle w tajemnicy. Należy jednak dodać, że rzadko się zdarzają; potrzeba na to dużo pieniędzy i amatorzy płci pięknej chwytają się innych środków, zupełnie bezpiecznych.

Już od pierwszych dni więziennego życia zaciekał mnie bardzo pewien młody aresztant, szczególnie ładny chłopak. Nazywał się Sirotkin. Był on pod wielu względami zagadkową istotą. Przede wszystkim uderzyła mnie jego prześliczna twarz; nie liczył więcej niż dwadzieścia trzy lata. Należał do osobnego oddziału, to jest bezterminowego, uważany był zatem za jednego z największych wojskowych przestępców. Cichy i pokorny, mówił mało, śmiał się rzadko. Oczy miał błękitne, rysy regularne, twarz czysta, delikatna, włosy jasnobłond. Nawet półogolona głowa mało go szpeciła, taki był ładny chłopiec. Rzemiosła nie umiał żadnego, ale pieniądze miewał; niewiele, ale często. Widać było, że leniwy, chodził nieporządnie ubrany. Czasem chyba ktoś inny ubierze go przyzwoicie, niekiedy nawet w czerwoną koszulę, i Sirotkin widocznie rad z nowego stroju: chodzi po koszarach, pokazuje się ludziom. Nie pił, nie grał w karty, nie kłócił się z nikim. Chodzi, bywało, za koszarami — ręce w kieszeniach, spokojny, zamyślony. O czym on mógł myśleć, trudno było sobie wyobrazić. Zawołasz na niego czasem z ciekawości, zapytasz o coś, on natychmiast odpowie, i to z pewnym szacunkiem, nie po aresztancku, ale zawsze krótko, bez wdawania się w rozmowę; patrzy zaś na ciebie jak dziesięcioletnie dziecko. Gdy znajdą się u niego pieniądze, nie kupi sobie czegoś koniecznie potrzebnego, nie odda do naprawy kurtki, nie sprawi nowych butów, ale

kupi kołaczyka, pierniczka i schrupie — istny siedmioletni dzieciak. „Ech ty, Sirotkin — wołali do niego czasem aresztanci: — sierota ty kazańska!”. W czas nieroboczy włączył się, bywało, po wszystkich koszarach; prawie wszyscy zajęci swoją robotą, on nie ma nic do roboty. Powiedzą mu coś, prawie zawsze żartując z niego (z niego i jego towarzyszy często się wyśmiewano), a on nic nie powie na to, zawróci i pójdzie do innej kazarmy, a jeśli już bardzo biorą go na fundusz (od wydawcy: tj. kpią i naśmiewają się z niego), zarumieni się.

Zadawałem sobie nieraz pytanie: za co ta spokojna, naiwna istota mogła dostać się do ostrogu? Pewnego razu leżałem chory w szpitalu, w areztanckiej izbie; Sirotkin był także chory i leżał obok mnie. Jakoś pod wieczór nawiązaliśmy rozmowę i nagle ożywił się i opowiedział mi, jak go oddawano do wojska, jak nad nim matka, odprowadzając go, płakała i jak ciężko mu było być rekrutem. Dodał, że w żaden sposób nie mógł wytrzymać rekruckiego życia, dlatego, że tam wszyscy byli tacy surowi, gniewni, a oficerowie komenderujący zawsze byli z niego niezadowoleni.

— Jakże się skończyło? — spytałem. — Za cóż ty się tu dostałeś? I jeszcze do osobnego oddziału... Ach ty, Sirotkin, Sirotkin!

— Ja, Aleksandrze Piotrowiczu, rok wszystkiego byłem w batalionie, a tutaj się dostałem za to, że Grzegorza Piotrowicza, komendanta mojej rotы, zabiłem.

— Słyszałem ja o tym, Sirotkin, ale nie wierzę. Gdzież ty mogłeś kogoś zabić?

— Tak się zdarzyło, Aleksandrze Piotrowiczu. Bardzo mi już ciężko było.

— A jakżeż żyją inni rekruci? Rozumie się, ciężko im z początku, ale potem przywykają i nim się obejrzysz, z rekruta robi się dzielny żołnierz. Ciebie zapewne matka zanadto pieściła, piernikami i mleczkiem do osiemnastu lat karmiła.

— „Matuszka”, prawda, bardzo mnie kochała. Kiedy mnie wzięto w rekruty, z żalu zasłabła i słyszałem, że nie wstawiała... Ciężko mi już bardzo

pod koniec zaczęło być w rekructwie. Komendantowi się nie podobałem, za wszystko mnie karał — a i za co? Ja wszystkim ulegam, żyję akuratnie, wódki nie piję, niczym złym się nie zajmuję, a to już, Aleksandrze Piotrowiczu, niedobrze, jeżeli człowiek czemuś złemu się oddaje. Wszyscy dokoła tacy niemiłosierni, nie ma gdzie zapłakać. Zdarza się, że pójde gdzie za róg i tam popłaczę. Otóż stoję raz na straży. Noc już, wiatr, jesień była, a ciemność taka, że choć oko wykol. I tak mi ciężko, ciężko zaczęło być. Wziąłem do nogi broń, bagnet odpiąłem, położyłem obok; ściągnąłem prawy but, lufę przystawiłem do piersi, oparłem się o nią i wielkim palcem u nogi spuściłem kurek. Patrzę — nie wypaliło! Obejrzałem karabin, przeczyściłem panewkę, podsypałem nowego prochu, otłukłem krzemień i znów do piersi lufę. I cóż? Proch buchnął, a wystrzału znów nie ma. „Cóż to jest?” — myślę sobie. Wziąłem but, naciągnąłem, bagnet przypiąłem, milczę i przechadzam się. Wtedy to postanowiłem zrobić coś takiego: gdziekolwiek się dostać, byle nie być rekrutem. W pół godziny potem jedzie komendant — objeżdżał straże — i prosto na mnie: „Czy tak stoją na warcie?”. Wziąłem broń do ręki i wsadziłem w niego bagnet po samą lufę. Cztery tysiące pałek przeszedłem i tutaj trafiłem do osobnego oddziału.

Sirotkin nie kłamał, za cóż innego zresztą przysłano by go tutaj? Zwyczajne przestępstwa są znacznie łagodniej karane. Zresztą tylko jeden Sirotkin spośród wszystkich swoich towarzyszy był tak pięknym młodzieńcem. Co się tyczy innych, podobnych do niego przestępców w liczbie około piętnastu, to dziwnie było nawet patrzeć na nich; dwie, trzy twarze były znośne, reszta zaś postacie bezmyślne, potworne, niechlujne. Jeżeli mi okoliczności pozwolą, opiszę kiedyś szczegółowiej tę oddzielną gromadkę. Sirotkin zaś często przyjaźnił się z Gazinem, z tym samym, od którego zacząłem ten rozdział, wspomniawszy, że pijany wwałił się do kuchni i że jego widok poplątał wszystkie moje wyobrażenia o życiu w ostrogu.

Ów Gazin był straszną istotą. Sam widok jego przygniatał i przerażał innych. Zdawało mi się zawsze, że nie mogło być nic dzikszego i potworniejszego od jego postaci. Widziałem w Tobolsku sławnego ze swoich zbrodni rozbójnika Kamieniewa; widziałem potem Sokołowa, aresztanta z dezterterów, strasznego zabójcę. Ale żaden z nich nie wywoływał tak wstrętnego wrażenia jak Gazin. Zdawało mi się czasem, że

widzę przed sobą ogromnego, olbrzymiego pajaka, wielkości człowieka. Był to Tatar, strasznie silny, najsilniejszy z całego ostrogu; wzrostu nieco wyższego ponad średni, herkulesowej budowy ciała, z potworną, nieproporcjonalnie wielką głową. Trzymał się pochyło, patrzył spode łba. W ostrogu chodziły o nim dziwne wieści; wiedzano, że był wojskowym, ale aresztanci opowiadali sobie — nie wiem, czy zgodnie z prawdą — że uciekł z Nerczyńska, że nieraz już był zsyłany na Sybir, nieraz uciekał, nieraz zmieniał nazwisko i wreszcie dostał się do naszego ostrogu, do osobnego oddziału. Opowiadano również o nim, że dawniej zarzywał małe dzieci jedynie dla przyjemności: zaprowadzi dziecko w jakieś ustronne miejsce, naprzód straszy je i męczy, a potem, nasyciwszy się przestradchem i drżeniem małej biednej ofiary, zarżnie ją cicho, powoli, z rozkoszą. Wszystko to może były wymysły, wywołane tym przygniatającym wrażeniem, jakie na wszystkich wywierał Gazin, ale wymysły te doskonale przystawały do jego postaci. A tymczasem w ostrogu zwykle, gdy nie był pijany, zachowywał się bardzo przyzwoicie. Był spokojny, nie wszczynał z nikim kłótni, unikał ich nawet, ale jakby z pogardy dla innych, z poczucia swojej wyższości nad innymi; mówił bardzo mało i jakby umyślnie nie zadawał się z innymi. Wszystkie jego ruchy były powolne, spokojne, pełne poczucia własnej siły. Z oczu mu patrzyło, że nie był głupi i nadzwyczajnie przebiegły, ale w twarzy, w uśmiechu jego było coś pogardliwie szyderczego i okrutnego.

Gazin handlował wódką i był w ostrogu jednym z najbogatszych szynkarzy. Ale parę razy do roku sam się upijał i wtedy to wychodziła na wierzch cała zwierzęcość jego natury. Poddając się stopniowo trunkowi, Gazin zaczynał najpierw zaczepiać ludzi szyderstwami najzjadliwszymi, obliczonymi i jakby od dawna przygotowanymi; na koniec, opanowany trunkiem, popadał w straszną wściekłość i rzucał się z nożem na ludzi. Aresztanci, znając jego olbrzymią siłę, uciekali od niego i kryli się; wtedy rzucał się na pierwszego spotkanego. Ale wkrótce znaleziono sposób i na niego. Dziesięciu ludzi z jego koszar rzucało się nagle na niego i wszyscy od razu zaczynali go bić. Nie można sobie wyobrazić nic okropniejszego od tego bicia: tłuczono go w pierś, w dołek, pod serce, w brzuch; bito mocno i długo i ustawiano dopiero wtedy, gdy postradał zmysły i leżał bez czucia jak martwy. Kogoś innego bić w ten sposób nie odważono by się: tak bić — znaczyło zabić, ale nie Gazina. Po takim biciu zawijano go, leżącego bez

czucia, w kozuch i kładziono na narach. „Odleży się!” I rzeczywiście nazajutrz wstawał prawie zdrów i milcząc, ponuro wychodził na robotę. I każdego razu, jak tylko Gazin zaczynał pić, wszyscy już w ostrogu wiedzieli, że dzień ten nieuchronnie zakończy się dla niego pobiciem. I on sam wiedział o tym, a mimo to upijał się. Tak się to ciągnęło przez lat kilka; na koniec zauważono, że Gazin zaczyna się poddawać. Zaczął skarżyć się na różne bóle, zaczął widocznie zapadać na zdrowiu, coraz częściej chodził do szpitala... „Poddał się jednak” — mówili do siebie aresztanci.

Wszedł on do kuchni w towarzystwie owego nędzniutkiego grajka, którego zwykle najmowali hulający, chcąc w całej pełni używać wesołości, i zatrzymał się na środku izby kuchennej, w milczeniu i uważnie oglądając wszystkich obecnych. Wszyscy zamilkli. Na koniec, ujrawszy mnie i mojego towarzysza, Gazin złośliwie i szyderczo popatrzył na nas, z poczuciem wyższości uśmiechnął się, coś jakby obmyślił w głowie i mocno się zataczając, podszedł do naszego stołu:

— Za pozwoleniem waszym — zaczął mówić — z jakich to dochodów z łaski swojej raczycie się herbatą?

Milcząc, zamieniłem spojrzenie z towarzyszem, zrozumiawszy, że najlepiej jest milczeć i nie odpowiadać pijanemu. Pierwszy sprzeciw wprowadziłby go we wściekłość.

— Widocznie macie pieniądze? — dopytywał się dalej. — Widocznie macie kupę pieniędzy, co? A czyście po to przyszli do katorgi, ażeby tu raczyć się herbatą? Czyście tu przyszli dla picia herbaty? No, mówcież, żeby was...!

Ale widząc, żeśmy postanowili milczeć i nie zwracać na niego uwagi, Gazin poczerwieniał i zatrzęsł się ze wściekłości. Obok niego w kącie stały wielkie niecki (drewniane naczynia), w których składano wszystek chleb nakrajany do obiadu lub wieczery dla aresztantów. Były tak wielkie, że mieściło się w nich chleba dla połowy ostrogu; teraz stały puste. Gazin chwycił je oburącz i wzniosł nad nami. Jeszcze chwila i rozmiądzłyby nam głowy. Pomimo że zabójstwo lub tylko zamach zabicia groził wielkimi nieprzyjemnościami całemu ostrogowi: zaczęłyby się badania, rewizje, obostrzenia i dlatego aresztanci wszelkimi sposobami starali się nie

doprowadzać do podobnych ostateczności — pomimo tego wszyscy teraz przycichli i wyczekiwali. Ani jednego słowa na naszą obronę! Ani jednego krzyku na Gazina! — do takiego stopnia głęboka była nienawiść ku nam! Nasze niebezpieczne położenie sprawiało im widoczną przyjemność... Ale sprawa zakończyła się szczęśliwie; tylko co chciał cisnąć na nas niecki, gdy ktoś z sieni zawołał:

— Gazin! Wódkę ukradli...!

Gazin grzmotnął nieckami o podłogę i jak szalony wypadł z kuchni.

— No, Bóg wybawił! — mówili między sobą aresztanci. I długo potem powtarzali to samo.

Nie mogłem się dowiedzieć później, czy wiadomość o skradzeniu wódki była prawdziwa, czy też zmyślona, aby nas obronić.

Wieczorem, gdy już było ciemno, przed zamknięciem koszar chodziłem pod ostrokołem i ciężki smutek spadł mi na duszę, tak ciężki, jakiego przez całe moje życie więzienne nie doznawałem. Ciężko przechodzi pierwszy dzień niewoli, gdziekolwiek bądź: czy to w ostrogu, czy w kazamacie, czy w katordze... Pamiętam, najwięcej zajmowała mnie wówczas jedna myśl, która potem nieodstępnie prześladowała mnie przez cały czas życia w ostrogu — myśl po części nierozwiązalna — nierozwiązana dla mnie i teraz: o nierówności kary za jednakowe przestępstwa. Prawda, że i przestępstwa trudno stawiać na równi, nawet w przybliżeniu. Na przykład i ten, i tamten popełnili zabójstwo; zważono wszystkie okoliczności w obu sprawach i w obu sprawach wypada prawie ta sama kara. A tymczasem popatrzcie, jaka różnica w przestępstwach. Jeden, na przykład, zarznął człowieka ot tak, bez powodu, dla główki cebuli, jak powiada legenda aresztancka: wyszedł na drogę, zarznął przejeżdżającego chłopca, a u chłopca tylko jedna cebula. „Cóż, bat'ka! Posłałeś mnie po zdobycz, oto ja chłopca zarznąłem i wszystkiego jedną cebulę znalazłem”. „Dureń! Cebula to przecież kopiejka! Sto dusz — sto cebul, ot masz i rubel”. A drugi popełnił zabójstwo, broniąc czci żony, siostry, córki od lubieżnego tyrana. Jeden zabił jako zbieg, osaczony całym pułkiem pogoni, broniąc swej wolności i życia, czasem bliski śmierci głodowej; a drugi zarzyna małe dzieci dla przyjemności mordowania, nasycenia się ich krwią ciepłą na rękach, ich

gołębił przestraczem. I cóż? I ten, i tamten pokutują w jednej katordze. Prawda, są różnice w terminach kar, ale tych różnic stosunkowo niewiele, a różnic w jednym rodzaju przestępstw niezliczone mnóstwo. Co charakter, to i różnica.

Ale przypuśćmy, że niepodobna pogodzić różnic w karach z różnicami w przestępstwach, że to jest zadanie nie do rozwiązania, jakaś kwadratura koła; przypuśćmy, że tak. Ale gdyby nawet tej nierówności nie było, popatrzcie na inną różnicę, na różnicę w skutkach, które kara za sobą pociąga... Oto człowiek w katordze usycha, wytapia się jak świeczka; i oto inny, który przed wstąpieniem do katorgi nie wiedział nawet, że jest na świecie takie wesołe życie, taki przyjemny klub zuchowatych towarzyszy! Tak, przybywają do ostrogu i tacy. Oto znów, na przykład, człowiek wykształcony, z sercem, z rozwiniętym umysłem i sumieniem. Męki, których w sercu doznaje, prędzej od wszelkich kar zadręczą go na śmierć. On sam siebie osądzi surowiej i bezlitośniej od najsurowszego prawa. A oto razem z nim ponosi jednakową karę człowiek, który przez cały czas katorgi nawet nie pomyśli o popełnionym przez siebie zabójstwie. Uważa się nawet za niewinnego. A bywają i tacy, którzy umyślnie popełniają przestępstwa, aby się tylko dostać do katorgi, uwolnić się od nierównie bardziej katorżnego życia swobodnego. Tam on żył w największym poniżeniu, nie zjadł nigdy do syta i od rana do nocy pracował na swego pryncypała; a w katordze robota lżejsza niż w domu, chleba pod dostatkiem, i takiego, jakiego on jeszcze nie kosztował; w dni świąteczne mięso wołowe, a przy tym jest jałmużna, jest możność zarobienia jakiegoś grosza. A towarzystwo? Lud przebiegły, zręczny, wszytkowiedzący; i oto nowo przybyły spogląda na swoich towarzyszy z pełnym szacunku podziwem; jeszcze nigdy takich nie widywał; uważa ich za najwyższy szczyt społeczeństwa, jaki istnieje na świecie. Czyż kara, na którą ci dwaj ludzie zostali skazani, jednakowo się im daje odczuwać? Ale zresztą po co zajmować się pytaniami nie do rozwiązania! Oto biją w bęben, czas do koszar.

Rozdział IV.

PIERWSZE WRAŻENIA

Zacząło się ostatnie sprawdzanie. Po tym sprawdzeniu zamykano kazarmy, każdą na osobny zamek, i aresztanci zostawali w zamknięciu aż do świtu.

Sprawdzania dokonywał podoficer z dwoma żołnierzami. W tym celu szykowano aresztantów niekiedy na dziedzińcu i przychodził oficer straży więziennej. Ale najczęściej ta ceremonia odbywała się domowym sposobem, w koszarach. Tak było i tym razem. Sprawdzający często robili omyłki w rachunku, wychodzili, wracali. Nareszcie biedni strażnicy doliczyli się potrzebnej liczby i zamknęli kazarmę. Mieściło się w niej blisko trzydziestu aresztantów, którzy musieli dobrze cisnąć się przy sobie na narach. Na spanie było jeszcze za wcześnie. Każdy oczywiście musiał się jeszcze czymś zająć.

Ze zwierzchności więziennej zostawał w kazarmie tylko inwalida, o którym już wspominałem. W każdej kazarmie był też starszy aresztant, wybrany na tę godność przez samego plac-majora, naturalnie za dobre prowadzenie się. Bardzo często zdarzało się, że i starszych chwymano na jakiejś bardziej nagannej swawoli, a wtedy bito ich, degradowano, a na ich miejsce naznaczano innych. W naszej kazarmie godność starszego piastował Akim Akimycz, który ku mojemu zdumieniu pokrzykiwał niekiedy na aresztantów. Ci odpowiadali mu zazwyczaj szyderstwami. Inwalida był rozumniejszy od niego, do niczego się nie mieszał, a jeżeli kiedy zdarzało się, że poruszył językiem, to tylko dla przyzwoitości, dla zachowania pozorów. Milcząc, siedział na swoim tapczanie i obciągał but na kopycie. Aresztanci prawie wcale nie zwracali na niego uwagi.

W ten pierwszy dzień więziennego życia zrobiłem spostrzeżenie, o którego prawdziwości przekonałem się później, a mianowicie, że wszyscy

niearesztanci, kimkolwiek oni są, zaczynając od tych, którzy mają bezpośrednią styczność z aresztantami, jak żołnierze konwojowi lub ze straży więziennej, a kończąc na tych, którzy z daleka tylko mają do czynienia z katorgą — że wszyscy oni mają przesadne wyobrażenie o aresztantach. Zda się, że nieustannie obawiają się, aby aresztant lada chwila nie rzucił się na nich z nożem. A co godniejsze uwagi, sami aresztanci czuli, że ich się boją, i to im widocznie dodawało animuszu. A tymczasem najlepszy dla nich bywa ten właśnie, który się ich nie boi. W ogóle też, nie zważając na przyrost animuszu, dla samych aresztantów jest przyjemniej, kiedy do nich mają zaufanie. Tą drogą można ich nawet zjednać dla siebie. Zdarzało się w czasie mojego więzienia, chociaż bardzo rzadko, że ktoś z naczelnych osób zachodził do ostrogu bez konwoju. Trzeba było widzieć, jak to uderzało aresztantów, i uderzało z dobrej strony. Taki odważny wizytator budził w nich zawsze szacunek i gdyby się rzeczywiście miało zdarzyć coś złego, to przy nim by się nie zdarzyło.

Ten strach przed aresztantami jest wszędzie, gdzie tylko są aresztanci, i doprawdy nie wiem, skąd on właściwie pochodzi. Naturalnie, znajduje pewne uzasadnienie tak w zewnętrznej postaci aresztanta, uznanego zbója, jak i w tym, że każdy zbliżający się do katorgi czuje, iż cała ta gromada ludzi zebrała się tu nie z własnej ochoty i że nie zważając na wszelkie środki ostrożności, żywego człowieka nie można zrobić trupem: pozostaną w nim uczucia, żądza zemsty i życia, zostaną namiętności i potrzeba uczynienia im zadość. Ale pomimo tego wszystkiego jestem zupełnie pewny, że nie trzeba się lękać aresztantów. Nie tak to łatwo i nie tak prędko rzuca się człowiek na człowieka z nożem. Jednym słowem, jeśli możliwe jest niebezpieczeństwo, jeśli pojawia się ono niekiedy, to sądząc z tego, jak rzadko się zdarzają podobne nieszczęśliwe wypadki, można stanowczo orzec, że jest ono bardzo małe. Naturalnie, mówię tu teraz o aresztantach osądzonych, z których wielu cieszy się, że dostali się na koniec do ostrogu (do tego stopnia bywa nieraz miłe nowe życie!), a wskutek tego skłonni są żyć spokojnie i cicho; a jeżeli są rzeczywiście niespokojni, to im towarzysze nie pozwolą zbyt się awanturować. Każdy katorżnik, choć bardzo śmiały i zuchwały, boi się wszystkiego w katordze. Co innego zaś aresztant zostający pod sądem. Ten w istocie gotów jest rzucić się na postronnego człowieka, tak bez powodu, jedynie dlatego na przykład, że jutro ma wyjść w celu otrzymania kary: jeśli się zawiąże nowa sprawa, to i

bliska kara odsunie się na czas jakiś. Tu jest przyczyna, cel napaści, mianowicie: „odmienić swoją dolę” w jakikolwiek sposób i jak można najprędzej. Znam nawet jeden dziwny psychologiczny wypadek w tym rodzaju.

W ostrogu naszym, w oddziale wojskowym, był aresztant-żołnierz, niepozbawiony praw cywilnych, skazany wyrokiem sądu na dwa lata więzienia w ostrogu, wielki fanfaron (tj. zarozumialec) i wielki tchórz. W ogóle samochwalstwo i tchórzostwo nadzwyczaj rzadko spotykają się w rosyjskim żołnierzu. Nasz żołnierz wydaje się zawsze tak zajęty, że gdyby nawet chciał, nie miałby czasu na fanfaronadę. Ale jeśli już jest fanfaronem, to prawie zawsze nicpoń i tchórz. Dutow (nazwisko aresztanta) odbył na koniec swoją niedługą karę i wrócił do liniowego batalionu. Ale wszyscy podobni jemu, posyłani do ostrogu na poprawę, psują się w nim ostatecznie i zwykle zdarza się tak, że po odsiedzeniu kary we dwa, trzy tygodnie znowu są pod sąd oddani i znowu zjawiają się w ostrogu, tylko już skazani nie na dwa lub trzy lata, ale do „wiecznego” oddziału, na lat piętnaście lub dwadzieścia. Tak się zdarzyło i tym razem. W trzy tygodnie po wyjściu z ostrogu Dutow coś ukradł spod zamka, prócz tego zelżył zwierzchników i wyprawiał awantury. Oddano go pod sąd i wyznaczono surową karę. Przestraszywszy się bliskiej kary do najwyższego stopnia, jak najnędzniejszy tchórz, Dutow, w wigilię tego dnia, kiedy go miano pędzić „przez strój”, to jest wzdłuż szeregu żołnierzy z pałkami, rzucił się z nożem na oficera warty, który wszedł do izby aresztanckiej. Rozumiał dobrze, że tym postępkiem pogorszy niezmiernie swoją sprawę i przedłuży termin kary. Ale jego rachunek polegał na tym, że choć na kilka dni, chociaż na kilka godzin oddali od siebie straszny moment kary! Był do tego stopnia tchórzem, że rzuciwszy się z nożem, nie ranił nawet oficera, a zrobił to tylko dla formy, dlatego tylko, aby okazało się nowe przestępstwo, za które go musiano na nowo sądzić.

Chwila przed karą, naturalnie, straszna jest dla skazanego i w kilka lat potem zdarzało mi się widzieć wielu aresztantów oddanych pod sąd w wigilię fatalnego dla nich dnia. Zazwyczaj spotykałem się z takimi aresztantami w szpitalu, w izbach aresztanckich, kiedym tam leżał chory, co zdarzało się dość często. Aresztanci w całej Rosji wiedzą o tym, że najlitościwsi dla nich ludzie to doktorzy. Nie robią oni różnicy między

aresztantami, jak to mimo woli czynią prawie wszyscy ludzie postronni, z wyjątkiem chyba prostego ludu. Ten nigdy nie wypomina aresztantowi jego przestępstwa, jakkolwiek jest ono okropne i przebacza mu wszystko jako temu, który poniósł już karę i jest nieszczęśliwy. Niedaremnie lud rosyjski wszędzie nazywa zbrodnię nieszczęściem, a zbrodniarzy nieszczęśliwymi. Określenie to pełne jest głębokiego znaczenia, a tym ważniejsze, że utworzone nieświadomie, instynktownie. Co się zaś tyczy doktorów, to ci są prawdziwą ucieczką dla aresztantów w wielu razach, szczególnie, gdy są pod sądem i trzymani są surowiej od innych... I oto podsądny, obliczywszy prawdopodobny termin strasznego dnia kary, wchodzi często do szpitala, aby choć trochę oddalić ciężką dla siebie chwilę. Kiedy zaś powraca stamtąd, niemal na pewno wiedząc, że fatalny termin przypada nazajutrz, opanowuje go prawie zawsze silne wzburzenie. Niektórzy przez ambicję ukrywają swoje uczucia, ale niezręczny, sztuczny animusz nie zdoła zbić z tropu towarzyszy. Wszyscy rozumieją jego położenie i milczą litościwie. Znałem pewnego młodego aresztanta-żołnierza, który jako zabójca skazany był na pewną liczbę pałek. Ten do tego stopnia przeląkł się kary, że w wigilię dnia egzekucji postanowił napić się wódki nalanej na tabakę. Trzeba dodać, że wódka zjawia się prawie zawsze u podsądnego aresztanta przed egzekucją. Przenosi się ją na długi czas przed terminem kary, kupuje się bardzo drogo i podsądny gotów jest odmawiać sobie przez pół roku najpotrzebniejszych rzeczy, byle tylko mieć za co kupić ćwierć sztofa wódki, którą wypije na kwadrans przed egzekucją (od wydawcy: sztof to rosyjska miara objętości płynów równa 1,23 litra). Wśród aresztantów w ogóle panuje przekonanie, że pijany nie tak boleśnie uczuwa uderzenia bicia lub pałki. Ale wracam do opowiadania. Biedak, wypiwszy trochę tej wódki, rzeczywiście zaraz zachorował; dostał wymiotów krwią i prawie nieprzytomnego odwieziono go do szpitala. Te wymioty tak nadwyrężyły mu piersi, że w kilka dni potem wystąpiły w nim objawy prawdziwych suchot, z których też umarł w pół roku potem. Doktorzy, którzy go leczyli, nie wiedzieli, skąd się te suchoty wywiązały.

Ale opowiadając o często trafiającej się małoduszności zbrodniarzy przed egzekucją, powinienem dodać, że z drugiej strony niektórzy z nich zdumiewają obserwatora nadzwyczajną odwagą. Pamiętam kilka przykładów takiej nieustraszonności, która dochodziła do zupełnej nieczułości, a nie były to rzadkie przykłady. Szczególnie pamiętne mi jest

spotkanie z pewnym strasznym zbrodniarzem. Pewnego letniego dnia w izbach aresztanckich rozeszła się pogłoska, że wieczorem karać będą słynnego rozbójnika Orłowa, jednego z dezertarów, i po egzekucji przyprowadzą do szpitala. Chorzy aresztanci, oczekując przybycia Orłowa, utrzymywali, że będzie srogo ukarany. Wszyscy byli niespokojni, a i ja, przyznać muszę, oczekiwałem strasznego rozbójnika z nadzwyczajnym zaciekawieniem. Od dawna już cuda o nim słyszałem. Był to zbrodniarz, jakich mało, który obojętnie zarzynał starców i dzieci; człowiek ze straszną siłą woli i z dumnym poczuciem tej siły. Przyznał się do wielu zabójstw i skazany był na pędzenie „przez strój” pod pałkami. Przyprowadzono go wieczorem. W izbie szpitalnej było już ciemno i zapalono świece. Orłow był prawie nieprzytomny, strasznie blady, z gęstymi, zwichrzonymi, czarnymi jak smoła włosami. Jego napuchły grzbiet miał krwawosiną barwę. Całą noc chodzili koło niego aresztanci, zmieniali mu okłady, przewracali z boku na bok, dawali lekarstwo z taką troskliwością, jak gdyby był ich bliskim krewnym lub dobroczyńcą. Nazajutrz zupełnie oprzytomniał i przeszedł się parę razy po sali! Zdumiałem się, przybył bowiem do szpitala zbyt słaby i zmęczony, przebywszy od razu całą połowę przeznaczoną dla siebie liczby pałek. Doktor przerwał egzekucję dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że przeciąganie jej groziło zbrodniarzowi nieuchronną śmiercią. A do tego Orłow był małego wzrostu i słabej budowy, i wyczerpany długim trzymaniem w więzieniu podczas śledztwa. Komu zdarzało się widzieć kiedykolwiek podsądnych aresztantów, ten zapewne na długo zapamiętał ich zmęczone, chude i blade twarze, ich gorączkowe spojrzenia.

Ale pomimo tego wszystkiego Orłow szybko powracał do zdrowia. Widocznie wewnętrzna energia jego duszy dzielnie pomagała naturze. W istocie, był to człowiek niezupełnie zwyczajny. Przez ciekawość zaznajomiłem się z nim bliżej i studiowałem go przez cały tydzień. Śmiało powiedzieć mogę, że nigdy w życiu nie spotkałem człowieka silniejszego, bardziej żelaznego charakteru. Widziałem już raz przedtem, w Tobolsku, pewną znakomitość w tym rodzaju, byłego atamana rozbójników. Był to istny dziki zwierz i stojąc koło niego, choć nie znałeś jeszcze jego imienia, czułeś jednak instynktownie, że to jakaś straszna istota. Ale w tamtym przerażała mnie duchowa otępiałość. Ciało do tego stopnia brało w nim górę nad wszelkimi własnościami duszy, że z pierwszego wejrzenia na

twarz jego widać było, iż nic w nim nie zostało prócz dzikich żądz cielesnych, lubieżności, nasycenia ciała. Jestem pewny, że Konierow — tak się nazywał rozbójnik — upadł na duchu i drżał ze strachu przed karą, pomimo że zdolny był zarzynać ludzi bez jednej zmarszczki na twarzy. Zupełny kontrast z nim stanowił Orłow; było to wcielenie zupełnego zwycięstwa nad ciałem. Widać było, że ten człowiek mógł panować nad sobą nieograniczenie, gardził wszelkimi mękami i karami i nie bał się niczego na świecie. Widziałem w nim tylko nieskończoną energię, żądzę dopięcia zamierzonego celu. Uderzony byłem przede wszystkim jego dziwną wyniosłością. Na wszystko spoglądał jakoś niezmiernie z wysoka, nie starając się przy tym bynajmniej stawać na szczudłach, ale tak jakoś naturalnie. Myślę, że nie było nikogo na świecie, kto by mógł podzielać na niego samym tylko znaczeniem swoim u ludzi. Na wszystko spoglądał z jakimś niespodziewanym spokojem, jak gdyby nie było niczego na świecie, co by go mogło zadziwić. I chociaż doskonale wiedział, że inni aresztanci patrzą na niego z szacunkiem, nie starał się bynajmniej pozować przed nimi. A tymczasem próżność i pycha właściwe są prawie wszystkim aresztantom. Był wcale niegłupi i jakoś dziwnie otwarty, choć bynajmniej nie gadatliwy. Na pytania moje odpowiadał wprost, że czeka wyzdrowienia, ażeby co prędzej otrzymać resztę kary, i że z początku, przed egzekucją, bał się, że jej nie wytrzyma. „Ale teraz — dodał, mrugnawszy do mnie okiem, — sprawa skończona. Przebędę resztę uderzeń i natychmiast odprawią mnie z partią do Nerczyńska, a ja z drogi ucieknę. Z pewnością ucieknę! Był się tylko grzbiet co prędzej zagoił!” I przez wszystkie pięć dni niecierpliwie czekał chwili, kiedy się będzie mógł wypisać ze szpitala, ale w oczekiwaniu tym był bardzo żartobliwy i wesoły.

Próbowałem dowiedzieć się czegoś od niego o jego sprawach. Chmurzył się trochę na podobne pytania, ale odpowiadał zawsze otwarcie. Kiedy zaś zrozumiał, że dobieram się do jego sumienia i chcę doszukać się w nim choć śladu skruchy, to spojrzał na mnie tak pogardliwie i wyniośle, jak gdybym się nagle w jego oczach zamienił w głupiutkiego malca, z którym nie można rozumnie mówić, jak ze starszymi. Coś nawet w rodzaju litości ku mnie wyraziło się w jego twarzy. Po chwili zaśmiał mi się w oczy naiwnym śmiechem, bez wszelkiej ironii, i jestem pewny, że zostawszy sam i przypominając sobie moje słowa, nieraz jeszcze wybuchał śmiechem. Na koniec wypisał się ze szpitala z jeszcze niezupełnie wygojonym grzbietem;

ja wówczas także wychodziłem ze szpitala i wypadło nam wracać razem, mnie do ostrogu, jemu do kordegardy koło naszego ostrogu, gdzie go i przedtem trzymano. Żegnając się ze mną, uściśnął mi rękę; był to z jego strony znak wielkiego zaufania. Sądzę, że zrobił to tylko dlatego, że był bardzo zadowolony z siebie i z chwili obecnej. W rzeczy zaś samej nie mógł mną nie gardzić i niewątpliwie spoglądał na mnie jak na istotę uległą, słabą, nędzną, pod każdym względem niższą od niego. Nazajutrz zaraz poprowadzono go na drugą egzekucję.

Kiedy zamykano naszą kazarmę, przybierała ona nagle odmienną postać, stawała się podobna do prawdziwego mieszkania, do domowego ogniska. Teraz dopiero aresztanci, moi towarzysze, byli zupełnie jak w domu. W dzień podoficerowie, strażnicy i w ogóle wszelkiego rodzaju zwierzchnicy mogli w każdej chwili zjawić się w ostrogu i dlatego wszyscy mieszkańcy ostrogu w dzień inaczej się jakoś trzymają, jakby niezupełnie uspokojeni, jakby lada chwila wyczekujący czegoś w niepokoju. Ale jak tylko zamknięto kazarmę, wszyscy natychmiast rozsiedli się na swoich miejscach i prawie każdy zabrał się do jakiegoś rzemiosła. Kazarma nagle zajaśniała światłem. Każdy miał własną świecę i własny świecznik, zwykle drewniany. Ten zabrał się do szycia butów, ów do krawiectwa. Duszne powietrze kazarmy stawało się coraz bardziej dławiące. Gromadka hulaków, przysiadłszy na nogach w kącie przed rozesłanym dywanem, zaczynała grać w karty. Prawie w każdej kazarmie był taki człowiek, który miał mały, wytarty dywanik, świeczkę i niesamowicie brudne, zatłuszczone karty. Wszystko to razem wzięte nazywało się majdan. Właściciel majdanu otrzymywał zapłatę od grających po piętnaście kopiejek za noc. Grano zwykle w tri lista, górkę i inne. Wszystkie gry były hazardowe, każdy gracz wysypywał przed sobą kupę miedziaków, wszystko, co miał w kieszeni, i wstawał z przycupnięcia dopiero wtedy, gdy się zgrał do szczętu lub gdy ograł towarzyszy. Gra ciągnęła się długo w nocy, a czasem trwała aż do świtu, aż do tej chwili, kiedy otwierano kazarmę.

W naszej izbie, podobnie jak we wszystkich innych kazarmach ostrogu, bywali zawsze nędzarze, żebracy, którzy przepili lub przegrali wszystko w karty, albo też po prostu nędzarze z natury. Mówię „z natury” i kładę nacisk na to wyrażenie. W istocie w narodzie naszym w jakimkolwiek otoczeniu i wśród jakichkolwiek warunków są i będą zawsze pewne dziwne jednostki,

spokojne i nieraz bardzo leniwe, którym los z góry przeznaczył być na wieki wieków nędzarzami. Zawsze bezdomni, zawsze obdarci, wyglądają jak przybici i czymś udręczeni i wiecznie zostają u kogoś na posługach, na posyłkach, najczęściej u hulaków lub tych, co się nagle wzbogacili i wynieśli. Wszelki pomysł, wszelka inicjatywa jest dla nich przykrością i ciężarem. Zdaje się, że przyszli na świat, żeby nic nie robić samodzielnie, ale tylko służyć innym, żyć według cudzej woli, tańczyć, jak im zagrają; przeznaczeniem ich — spełniać cudze rozkazy. A ponad to wszystko, żadne szczęśliwe okoliczności, żadne przewroty nie zdołają ich wzbogacić: ot, zawsze żebracy. Zauważyłem, że takie jednostki spotyka się nie tylko wśród prostego ludu, ale we wszystkich społeczeństwach, warstwach, partiach, dziennikach i stowarzyszeniach. To samo było w każdej kazarmie, w każdym ostrogu i jak tylko układał się majdan, natychmiast jeden z takich zjawiał się do posługi. Najmowali go zwykle wszyscy gracze razem za pięć kopiejek srebrem na całą noc, a głównym jego obowiązkiem było stać całą noc na straży. Marzył on zwykle przez sześć do siedmiu godzin w ciemności, w sieniach, na trzydziestostopniowym mrozie i łowił uchem każdy stuk, każdy dźwięk, każdy krok na dziedzińcu. Plac-major albo strażnik zjawiali się niekiedy bardzo późną nocą w ostrogu, wchodzili po cichu i łapali na gorącym uczynku i graczy, i pracujących, i świeczki, które można było spostrzec z podwórza. To pewne przynajmniej, że kiedy nagle zaczynał grzmieć zamek w drzwiach prowadzących z sieni na dziedziniec, to już za późno by chować rzeczy, gasić świece i kłaść się na narach. Ale ponieważ czuwającemu najemnikowi dostawało się za to porządnie od majdanu, więc i wypadki takich schwytań na gorącym uczynku bywały bardzo rzadkie. Pięć kopiejek, niewątpliwie, zapłata śmiesznie mała, nawet w ostrogu; uderzała mnie zawsze w ostrogu surowość i bezlitosność najmujących, tak w tym, jak i w innych razach. „Wziąłeś pieniądze, więc służ!” — to był argument nieznoszący żadnego sprzeciwu. Najmujący za pieniądze, który dawał najemnikowi, brał wszystko, co mógł wziąć od niego, i szczerze uważał się za jego dobroczyńcę. Hulaka, pijany, rzucający pieniądze na prawo i lewo bez rachunku, takiego posługacza swojego oszukiwał w zapłacie; zauważyłem to w niejednym ostrogu, przy niejednym majdanie.

Powiedziałem już, że w kazarmie prawie wszyscy siedli do jakichś zajęć; prócz graczy było nie więcej niż pięciu ludzi zupełnie próżnujących; ci też zaraz położyli się spać. Moje miejsce na narach wypadło przy samych

drzwiach. Z drugiej strony moich nar, głowa o głowę ze mną, mieścił się Akim Akimycz. Do godziny dziesiątej czy do jedenastej pracował, kleił jakąś różnokolorową chińską latarkę, którą zamówiono u niego w mieście za dobrą cenę. Latarki robił po mistrzowsku, pracował metodycznie, nie odrywając się od pracy; kiedy ją zaś ukończył, to starannie sprzątnął wszystko, rozesłał swój materacyk, pomodlił się i przyzwoicie ułożył się do snu. Przyzwoitość, porządek posuwał do najdrobniejszego pedantyzmu i oczywiście musiał się uważać za bardzo rozumnego człowieka, jak wszyscy ludzie tępego umysłu i ograniczeni. Nie podobał mi się od pierwszego dnia, chociaż, pamiętam, wiele tego pierwszego dnia rozmyślałem nad nim i najbardziej dziwiłem się temu, że taki człowiek, zamiast mieć powodzenie w życiu, znalazł się w ostrogu. W dalszym ciągu wypadnie mi nieraz jeszcze mówić o Akimie Akimyczu.

Ale opiszę pokrótce skład całej kazarmy. Miałem w niej żyć wiele lat i wszystko to mieli być moi współmieszkańcy, towarzysze. Łatwo zrozumieć, że wpatrywałem się w nich z wielką ciekawością. Na lewo od mojego miejsca na narach mieściła się gromadka kaukaskich górali, zesłanych w większości za grabież z rozmaitym terminem kary. Było tam: dwóch Lezginów, jeden Czeczeniec, trzech dagestańskich Tatarów. Czeczeniec był chmurną i ponurą istotą; prawie z nikim nie mówił i patrzył ciągle dookoła z nienawiścią, spode łba i z jadowitym, gniewnie szyderczym uśmiechem. Jeden z Lezginów był to już starzec, z długim, cienkim garbatym nosem, z postaci zbój skończony. Za to drugi, Nurra, od pierwszego dnia katorgi wywarł na mnie najmielsze, najprzychylniejsze wrażenie. Był to człowiek jeszcze niestary, wzrostu niewysokiego, zbudowany jak Herkules, jasny blondyn z jasnobłękitnymi oczami, z zadartym nosem, z twarzą Czuchonki i z krzywymi nogami z powodu ciągłej jazdy konnej w poprzednim życiu (od wydawcy: Czuchoncy to określenie ludności pochodzenia fińskiego z okolic dawnego Leningradu). Miał całe ciało zrąbane, pokaleczone bagnietami i kulami. Na Kaukazie należał do spokojnych górali, ale nieustannie po kryjomu przejeżdżał do niepodległych i stąd razem z nimi czynił napady na Rosjan. W katordze wszyscy go lubili. Był zawsze wesół, uprzejmy dla wszystkich, pracował bez szemrania, spokojny i pogodny, choć często z oburzeniem spoglądał na brzydotę i podłość aresztanckiego życia i gniewem zapalał się na każde złodziejstwo, oszustwo, pijaństwo, w ogóle na każdą nieuczciwość, ale

kłótni nie wszczynął, tylko odwracał się z oburzeniem. Sam w przeciągu całej swej katorgi nic nie ukradł, nikomu nic złego nie wyrządził. Był nadzwyczajnie pobożny. Święcie wypełniał przepisy swej religii, odmawiał modlitwy, w posty przed mahometańskimi świętami pościł jak fanatyk i całymi nocami modlił się, stojąc. Wszyscy go lubili i wierzyli w jego uczciwość. „Nurra-lew”, mawiali aresztanci i tak mu pozostała nazwa lwa. Był on najświęciej przekonany, że po upływie naznaczonego terminu katorgi wróci do domu na Kaukaz, i żył tylko tą nadzieją. Myślę, że umarłby, gdyby mu tę nadzieję odjęto.

Już w dniu mego przybycia do ostrogu uderzyła mnie ta postać. Niepodobna było nie zwrócić uwagi na dobrą, współczującą twarz pośród złych, ponurych i szyderczych twarzy innych aresztantów. W ciągu pierwszej pół godziny po przybyciu moim do katorgi, przechodząc koło mnie, poklepał mnie po ramieniu dobrodusznie, śmiejąc mi się w oczy. Nie mogłem z początku zrozumieć, co to miało znaczyć. Po rosyjsku zaś bardzo źle mówił. Wkrótce potem znowu podszedł ku mnie i uśmiechając się po przyjacielsku, uderzył mnie po ramieniu. I potem znów jeszcze i jeszcze, i tak to powtarzało się przez trzy dni. Chciał przez to wyrazić, jak się domyśliłem i dowiedziałem potem, że żałuje mnie, że czuje, jak mi ciężko zaznajomić się z ostrogiem, że chce okazać mi swoją przyjaźń, dodać mi ducha i zapewnić mnie o swojej opiece. Dobry i naiwny Nurra!

Dagestańskich Tatarów było trzech; wszyscy rodzeni bracia. Dwaj z nich byli już w podeszłym wieku, ale trzeci, Alej, miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, a z twarzy wydawał się jeszcze młodszy. Jego miejsce na narach było obok mnie. Twarz jego prześliczna, otwarta, rozumna, a zarazem dobrodusznie naiwna, od razu pociągnęła ku niemu moje serce i niezmiernie rad byłem, że jego, a nie kogo innego los dał mi za towarzysza. Cała dusza malowała się na jego pięknej, można powiedzieć, prześlicznej twarzy. W uśmiechu jego było tyle zaufania, tyle dziecinnej prostoty; wielkie czarne oczy były tak miękkie, tak uprzejme, że czułem zawsze szczególne zadowolenie, nawet ulgę w smutku i tęsknocie, patrząc na niego. Mówię to bez przesady. W Dagestanie jego starszy brat (bo wiedzieć trzeba, że ma pięciu braci, z których dwaj dostali się do jakichś kopalń) kazał mu wziąć szablę, siąść na koń i jechać razem z braćmi na jakąś wyprawę. Szacunek dla starszych w rodzinach górali kaukaskich jest

tak wielki, że młodzieniec nie tylko się nie ośmielił, ale nawet nie pomyślał o tym, aby zapytać braci, dokąd się udają. Ci zaś nie uważali nawet za rzecz potrzebną powiadomić go o tym. Jechali na rozbój, aby zasadzić się na pewnego bogatego kupca ormiańskiego i go ograbić. Plan ich powiódł się; wycięli konwój, zabili Ormianina, a towar jego zagrabili. Ale rzecz wykryto; wzięto ich wszystkich sześciu, sądzono, dowiedziono winy i ukarano, zsyłając na Sybir do ciężkich robót. Dla Aleja sąd o tyle tylko okazał się łaskawy, że mu zmniejszono trwanie kary; zesłany był na cztery lata.

Bracia bardzo go kochali, i to bardziej ojcowską niż braterską miłością. Był on dla nich pociechą na wygnaniu; zazwyczaj chmurni i posępni, uśmiechali się zawsze, patrząc na niego, a gdy z nim mówili (a mówili z nim bardzo mało, jak gdyby uważając go ciągle za malca, z którym nie ma co mówić o rzeczach poważnych), to surowe ich twarze wygładzały się i domyślałem się, że mówią z nim zapewne o czymś żartobliwym, prawie dziecinnym, wiem przynajmniej, że zawsze, wysłuchawszy jego odpowiedzi, spoglądali na siebie i uśmiechali się dobroduszenie. Sam zaś on prawie nigdy nie śmiał zaczynać rozmowy z nimi, tak wielki był jego szacunek dla nich. Trudno zrozumieć, jak ten chłopak mógł przez cały czas swej katorgi zachować taką miękkość serca, wykształcić w sobie tak surową uczciwość, taką serdeczność, nie zgrubieć, nie zepsuć się. Była to zresztą natura silna i twarda, pomimo całej swej pozornej miękkości. Poznałem go potem dobrze. Był czysty jak czysta dziewczyna, a wszelki brzydki, cyniczny, podły lub niesprawiedliwy uczynek zapalał ogień oburzenia w jego prześlicznych oczach, które stawały się z tego powodu jeszcze piękniejsze. Ale unikał sporów i kłótni, choć w ogóle nie należał do takich, którzy pozwalają krzywdzić siebie bezkarnie i umiał się bronić. Ale z nikim się nie kłócił; wszyscy go lubili i głaskali.

Ze mną z początku był tylko grzeczny. Powoli zacząłem wchodzić z nim w rozmowy i w kilka miesięcy nauczył się doskonale mówić po rosyjsku, do czego bracia jego nie doszli przez cały czas swej katorgi. Wydał mi się nadzwyczaj rozumnym chłopakiem, nadzwyczaj skromnym i delikatnym, i nawet takim, który już wiele przemyślał. W ogóle powiem zawczasu: uważam Aleja za istotę bardzo niezwykłą i wspominam o spotkaniu się z nim jako o jednym z lepszych zdarzeń w moim życiu. Są dusze tak piękne z

natury, tak bogato przez Boga obdarzone, że nawet myśl o tym, aby się mogły zmienić kiedykolwiek na gorsze, wydaje się niemożliwa. O takich ludzi można być zawsze spokojnym. I ja jestem spokojny o Aleja. Gdzie to on jest teraz...?

Pewnego razu, już dość dawno po przybyciu do ostrogu, leżałem sobie na narach i myślałem o czymś ciężkim. Alej, zawsze pracowity i zatrudniony, tym razem niczym nie był zajęty, choć do snu było jeszcze za wcześnie. Ale mahometanie mieli wówczas jakieś swoje święto i nie pracowali. Alej leżał, założywszy ręce na głowę, i także o czymś myślał. Nagle spytał mnie:

— Cóż, bardzo ciężko ci teraz?

Ciekawie objąłem go wzrokiem; dziwne mi się wydało to nagłe prosto z mostu pytanie ze strony Aleja, zawsze delikatnego, rozważnego, rozumnego sercem; ale wpatrzywszy się uważniej, dostrzegłem w jego twarzy tyle tęsknoty, tyle męki wywołanej wspomnieniami, że natychmiast zrozumiałem, że to jemu samemu było bardzo ciężko w tej właśnie chwili. Wypowiedziałem mu swój domysł. Westchnął i smutnie się uśmiechnął. Lubilem jego uśmiech, zawsze czuły i serdeczny. Prócz tego, uśmiechając się, pokazywał dwa rzędy perłowych zębów, których piękności mogłaby mu pozazdrościć najpiękniejsza kobieta na świecie.

— Co, Alej, tyś na pewno myślał o tym, jak to u was w Dagestanie obchodzą to święto? Pewnie tam dobrze?

— Tak — odpowiedział z uśmiechem i oczy mu zaświeciły. — A skąd wiesz, że ja o tym myślę?

— Jakżebym nie wiedział! Co, tam pewnie lepiej niż tutaj?

— O, po co ty to mówisz...

— Zapewne u was teraz kwiaty kwitną, świat jak raj?

— Och, nie mów lepiej. — Był silnie poruszony.

— Posłuchaj, Alej, miałeś siostrę?

— Miałem, a na co ci wiedzieć?

— Jeżeli do ciebie podobna, musiała być piękna.

— Co do mnie! Ona jest tak piękna, że piękniejszej nie ma w całym Dagestanie. Ach, jaka cudna moja siostra! Tyś nie widział takiej. I matka moja była piękna.

— A kochała cię matka?

— Ach! Co ty mówisz! Ona pewno umarła teraz z tęsknoty za mną. Ja byłem jej ukochanym synem. Kochała mnie bardziej niż moją siostrę, bardziej niż wszystkich... Dziś do mnie w nocy przychodziła i płakała nade mną.

Zamilkł i tego wieczora nie powiedział już ani słowa. Ale od tego czasu szukał zawsze rozmowy ze mną, jakkolwiek sam, przez szacunek, który nie wiem dlaczego czuł do mnie, nigdy pierwszy nie zaczynał mówić. Za to bardzo był rad, gdy ja do niego przemówiłem. Rozpytywałem się go o Kaukaz, o jego dawniejsze życie. Bracia nie bronili mu rozmawiać ze mną, było im to nawet przyjemne. Widząc zaś, że coraz więcej lubię Aleja, stali się daleko łaskawszy dla mnie.

Alej pomagał mi w robocie, świadczył mi, jakie mógł, przysługi w kazarmach i widać było, że sprawia mu to wielką przyjemność, gdy cokolwiek może mi przynieść ulgę, dogodzić mi, a w tej chęci dogodzenia nie było nic poniżającego, ani śladu interesowności, tylko ciepłe, przyjacielskie uczucie dla mnie, którego on już nie ukrywał. Prócz innych posiadał on wiele zdolności mechanicznych: nauczył się porządnie szyć bieliznę, robić buty, a potem, na tyle, ile zdołał, nauczył się i stolarstwa. Bracia chwalili go, dumni byli z niego.

— Posłuchaj, Aleju — powiedziałem raz do niego — dlaczego ty się nie nauczysz czytać i pisać po rosyjsku? Czy ty wiesz, jak ci się to może przydać potem tu, w Syberii?

— Bardzo chcę. Ale kto mnie nauczy?

— Czyż tu mało piśmiennych? Zresztą jeśli chcesz, ja cię nauczę.

— Ach, naucz, proszę cię! — i podniósł się nieco na narach i błagalnie złożył ręce, patrząc na mnie.

Zabraliśmy się do nauki zaraz następnego wieczora. Miałem rosyjski przekład Nowego Testamentu, książkę niezabronioną w ostrogu. Bez elementarza, na tej jedynej tylko książce Alej w ciągu kilku tygodni nauczył się doskonale czytać. Po trzech miesiącach nauki zupełnie już rozumiał literacki język. Uczył się z zapalem, z uniesieniem.

Pewnego razu przeczytaliśmy razem z nim całe Kazanie na Górze. Zauważyłem, że niektóre ustępy Alej wygłaszał z jakimś szczególnym wyrazem, i spytałem go, czy podoba mu się to, co przeczytał.

Bystro spojrzał na mnie i rumieniec twarz mu oblał.

— Ach, tak! — odpowiedział. — Tak, Isa święty prorok, Isa boskie słowa mówił. Jakie to piękne! (od wydawcy: Isa to po arabsku imię Jezus, w tradycji muzułmańskiej Isa Ibn Marjam oznacza Jezus Syn Maryi)

— Cóż ci się najbardziej z tego podoba?

— A to gdzie on mówi: przebaczaj, kochaj, nie krzywdź i wrogów kochaj. Ach, jak pięknie on mówi!

Obrócił się do braci, którzy przysłuchiwali się naszej rozmowie, i z zapalem zaczął coś mówić do nich. Oni długo i poważnie rozmawiali ze sobą i przytakiwali głowami. Potem z uroczym uprzejmym, to jest z prawdziwie muzułmańskim uśmiechem (który ja tak lubię i mianowicie lubię uroczystość tego uśmiechu) zwrócili się do mnie i potwierdzili, że Isa to był Boży prorok, i że on czynił wielkie cuda; że zrobił z gliny ptaka, tchnął w niego życie i ptak poleciał... i że to i u nich w księgach jest zapisane. Mówiąc to, mieli głębokie przekonanie, że robią mi wielką przyjemność, wychwalając Isę, a Alej czuł się szczęśliwy, że bracia jego zdobyli się na zrobienie mi tej przyjemności.

Nauka pisania poszła nam również bardzo szczęśliwie. Alej postarał się o pióra, atrament, papier (nie pozwolił mi go kupić za swoje pieniądze), i w jakieś dwa miesiące nauczył się doskonale pisać. Uderzyło to nawet jego braci. Duma i zadowolenie ich nie miały granic. Nie wiedzieli, jak mi za to podziękować. Na robotach, jeżeli zdarzyło się nam pracować razem, oni kolejno pomagali mi i poczytywali to sobie za szczęście. Nie mówię już o Aleju. Ten kochał mnie może tak, jak braci. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy wychodził z ostrogu. Wyprowadził mnie za kazarmę i tam rzucił mi się na szyję i zapłakał. Nigdy mnie przedtem nie całował i nigdy nie płakał. „Tyś dla mnie tyle zrobił, tyle zrobił — mówił do mnie — że ojciec i matka tyle by mi nie zrobili: tyś mnie człowiekiem zrobił, Bóg ci zapłaci, a ja cię nigdy nie zapomnę”...

Gdzież on, gdzie jest teraz mój dobry, miły Alej...

Oprócz Czerkiesów była jeszcze w kazarmach naszych cała gromada Polaków, która stanowiła zupełnie odrębną rodzinę, prawie niemającą stosunków z innymi aresztantami. Powiedziałem już, że w zamian za swoją wyłączność, za swą nienawiść ku katorżnikom rosyjskim, byli oni przez wszystkich nienawidzeni. Były to natury zmęczone, chore; było ich sześciu. Niektórzy posiadali i wykształcenie; o nich powiem potem osobno i szczegółowo. Od nich to niekiedy w ostatnich latach mego życia w ostrogu otrzymywałem trochę książek. Pierwsza książka, którą przeczytałem, wywarła na mnie silne, dziwne, szczególne wrażenie. O tych wrażeniach powiem kiedyś oddzielnie. Dla mnie są one niezmiernie godne uwagi i jestem pewny, że dla wielu będą zupełnie niezrozumiałe. Nie doświadczwszy, nie można sądzić o pewnych rzeczach. Powiem tylko to jedno: że moralne cierpienia cięższe są od wszelkich mąk fizycznych. Człowiek prosty, wszedłszy do katorgi, znajduje się w swoim towarzystwie, może nawet w bardziej rozwiniętym umysłowo. Utracił naturalnie wiele — rodzinę, swoich, wszystko, ale sfera pozostała ta sama. Człowiek wykształcony, podlegający według praw jednej karze z prostakiem, traci często nierównie więcej od niego. Musi przytłumić w sobie wszystkie potrzeby, wszystkie swoje przyzwyczajenia; przejść w sferę dla siebie niewystarczającą, nauczyć się oddychać innym powietrzem... Jest to ryba wyciągnięta na piasek... I często kara, dla wszystkich według prawa jednakowa, staje się dla niego dziesięciokrotnie bardziej męcząca. Jest to

rzecz niewątpliwa... nawet gdyby chodziło tylko o materialne przyzwyczajenia, których on zrzec się musi.

Ale Polacy stanowili odrębną jednolitą gromadkę. Było ich sześciu i mieszkali razem. Ze wszystkich katorżników w naszej kazarmie lubili tylko jednego Żyda i lubili go może za to, że ich bawił. Naszego Żydka zresztą lubili i inni aresztanci, wszyscy zaś bez wyjątku śmiali się z niego. On był u nas jeden i teraz nie mogę wspomnieć o nim bez śmiechu. Ile razy spojrzałem na niego, zawsze przychodził mi na myśl Jankiel, Żydek Gogola z Tarasa Bulby, który rozebrawszy się, aby się udać na spoczynek ze swoją Żydówką do jakiejś szafy, stał się przerażająco podobny do pisklęcia kury. Isaj Fomicz był jak dwie krople wody podobny do oskubanego kurczęcia. Był to człowiek już niemłody, lat około pięćdziesięciu, małego wzrostu i małej siły, przebiegły, ale stanowczo głupi. Zuchwały i arogant, był jednocześnie ogromnym tchórzem. Cały pokryty był zmarszczkami, na czole zaś i policzkach miał piętna, które mu wyciśnięto na rusztowaniu. Nie mogłem wcale pojąć, jak on mógł wytrzymać sześćdziesiąt batów. Do ostrogu przyszedł jako obwiniony o zabójstwo. Miał u siebie receptę od jakiegoś doktora, której mu Żydkiwie dostarczyli zaraz po sprowadzeniu go z rusztowania. Była to recepta na maść, która miała w dwa tygodnie usuwać piętna z ciała. Użyć tej recepty w ostrogu nie śmiał i wyczekiwał dwunastoletniego terminu swej katorgi, po którym wyszedłszy na posilenie (tj. przymusowe osiedlenie), miał stanowczy zamiar skorzystania z recepty. „Inaczej nie będę się mógł żenić — powiedział mi pewnego razu — a ja koniecznie chcę się ożenić”. Żyłem z nim w najlepszej przyjaźni. Był zawsze w wybornym usposobieniu. W katordze miał życie lekkie, bo był z rzemiosła jubilerem, miał mnóstwo zleceń z miasta i tym sposobem uwolnił się od ciężkich robót. Rozumie się, że był zarazem lichwiarzem i na procenty i zastaw dawał całej katordze pieniądze. Przybył on do katorgi przede mną i jeden z Polaków opisywał mi szczegółowo jego przybycie. Jest to arcyśmieszna historia, którą później opowiem; o Isaju Fomiczu jeszcze nieraz wypadnie mi mówić.

Reszta mieszkańców naszej kazarmy składała się z czterech starowierców, starych i w Piśmie Świętym biegłych, między którymi był i starzec ze starodubowskich słobód; z dwóch, trzech posępnych Małorusinów, z młodziutkiego katorżnika, z delikatną twarzą i cienkim

noskiem, który miał dwadzieścia trzy lata, a osiem dusz z tego świata spędził, z gromadki fałszerzy pieniędzy, z których jeden był żartownisiem, bawiącym całą naszą kazarmę, na koniec z kilku pochmurnych i ponurych aresztantów, ogolonych i oszpeconych, milczących i zawistnych, z nienawiścią spode łba patrzących wkoło siebie i mających postanowienie tak samo chmurzyć się, milczeć z nienawiścią przez długie jeszcze lata, przez cały ciąg swej katorgi. Wszystko to tylko mignęło przede mną w ten pierwszy, rozpaczliwy wieczór mojego nowego życia, mignęło pośród dymu i kopcia, wśród obelg i niewypowiedzianego cynizmu, w duszącym powietrzu, przy dźwięku kajdan, wśród przekleństw i bezwstydných śmiechów. Położyłem się na gołych narach, podłożywszy ubranie pod głowę (poduszki jeszcze nie miałem), nakryłem się kożuchem, ale długo nie mogłem zasnąć, chociaż byłem zmęczony i złamany wszystkimi potwornymi i niespodziewanymi wrażeniami tego pierwszego dnia. Ale nowe życie moje dopiero się zaczynało. Wiele jeszcze czekało mnie w przyszłości, o czym nigdy nie myślałem, czego nie przewidywałem...

Rozdział V.

PIERWSZY MIESIĄC

W trzy dni po moim przybyciu do ostrogu, kazano mi wychodzić na robotę. Bardzo pamiętny jest mi ten pierwszy dzień robót, chociaż w ciągu dnia tego nie przytrafiło mi się nic nadzwyczajnego, przynajmniej w porównaniu z tym, co było w ogóle niezwykłe w moim położeniu. Ale było to także jedno z pierwszych wrażeń, a ja ciągle jeszcze wszystkiemu chciwie się przypatrywałem. Wszystkie trzy pierwsze dni spędziłem wśród najcięższych wrażeń. „Oto koniec mojej wędrówki, jestem w ostrogu!” — powtarzałem sobie co chwila. „Oto przystań moja na długie, długie lata, mój kąt, do którego wstępuję z takim niedowierzaniem, z takim chorobliwym uczuciem... A kto wie? Może po wielu latach, kiedy mi wypadnie ten kąt opuszczać, będę go jeszcze żałował!”... — dodawałem nie bez przymieszki pewnej złowrogiej uciechy, która dochodzi niekiedy do potrzeby rozdrapania własnej rany, jakby przez chęć lubowania się swoim bólem, jak gdyby rzeczywiście w odczuwaniu całej wielkości swego bólu można było znajdować rozkosz. Myśl, że mogę kiedyś pożałować tego kąta, przerażała mnie: już wtedy przeczuwałem, jak potwornie ze wszystkim oswajającą się istotą jest człowiek. Ale to było dopiero w przyszłości, a tymczasem teraz wszystko dokoła mnie było wrogie i straszne... choć nie wszystko, ale tak mi się wówczas zdawało. Ta dzika ciekawość, z jaką oglądali mnie moi nowi towarzysze-katorżnicy, surowość ich obejścia z nowicjuszem-szlachcicem, który zjawiał się w ich korporacji, surowość, która niekiedy dochodziła niemal do nienawiści — wszystko to do tego stopnia zmęczyło mnie, że sam już pragnąłem co prędzej roboty przymusowej, żeby co prędzej od razu poznać i zgłębić całą moją niedolę, żeby zacząć żyć tak, jak wszyscy oni, żeby wejść co prędzej w jedną kolej z nimi. Rozumie się, że wówczas jeszcze nie spostrzegłem i nie podejrzewałem wielu rzeczy, które miałem tuż pod nosem; pomiędzy objawami złowrogimi nie odgadywałem pocieszających. Zresztą widok

kilku uprzejmych twarzy, z którymi w tych trzech dniach się spotkałem, na razie bardzo mnie pokrzepił. Najłaskawszy i najbardziej uprzejmy dla mnie był Akim Akimycz. Między ponurymi i nienawistnymi twarzami reszty katorżnych nie mogłem nie zauważyć kilku dobrych i wesołych. „Wszędzie są ludzie źli, a między tymi dobrzy” — śpieszyłem cieszyć się tą myślą. — „Kto wie? Ci ludzie może wcale niegorsi są od tych, którzy pozostali tam za ostrogiem”. Takie myśli przychodziły mi do głowy i sam trząsałem na to głową z niedowierzaniem, a tymczasem — mój Boże! — gdybym to ja wówczas wiedział, ile prawdy w nich było!

Ot, na przykład, był tu jeden człowiek, którego po wielu, wielu latach poznałem do gruntu, a tymczasem on był ze mną i ciągle koło mnie przez cały czas mej katorgi. To był aresztant Suszyłow. Jak tylko wspomniałem o katorżnikach, którzy nie byli gorsi od innych ludzi, mimo woli przyszedł on mi na myśl. Suszyłow usługiwał mi. Miałem i drugiego aresztanta do posług. Akim Akimycz z samego początku, w pierwszych dniach jeszcze, polecił mi pewnego Józefa, mówiąc, że za trzydzieści kopiejek miesięcznie będzie mi co dzień przyrządzał osobno jedzenie, jeżeli rządowego jeść nie mogę i mam środki na swoje. Józef był jednym z czterech kucharzy, których aresztanci obierali spomiędzy siebie do naszych dwóch kuchni; obranym wolno było przyjąć lub nie przyjmować wyboru, a przyjmawszy, rzec się go choćby nazajutrz. Kucharze nie chodzili na robotę, a cała ich powinność polegała na pieczeniu chleba i gotowaniu kapusty. Zwano ich u nas nie kucharzami, ale kucharkami (striapkami, w rodzaju żeńskim), nie z pogardy ku nim, zwłaszcza, że na kucharzy wybierano ludzi roztropnych i o ile można było uczciwych, ale tak, dla miłego żartu, o co się kucharze nasi wcale nie obrażali. Józefa prawie ciągle wybierano, prawie przez kilka lat z rzędu był ciągle striapką i zrzekał się tego zajęcia, kiedy mu się już bardzo przykrzyło i kiedy jednocześnie opanowywała go chęć przenoszenia wódki. Był to człowiek rzadkiej uczciwości i dobroci, chociaż dostał się tu za kontrabandę.

Był to ten sam kontrabandzista wysoki i tęgi, o którym już wspominałem; bał się wszystkiego, szczególnie różeg, spokojny był, łagodny ze wszystkimi, nie odpowiadał na zaczepki i z nikim nigdy się nie kłócił, ale pomimo swej bojaźliwości nie mógł się powstrzymać od przenoszenia wódki, jako namiętny kontrabandzista. Razem z innymi

kucharzami handlował i on wódką, ale nie na taką skalę, jak Gazin, bo nie odważał się tyle, co tamten, ryzykować. Z tym Józefem żyłem bardzo zgodnie. Co się zaś tyczy środków potrzebnych do tego, aby mieć swój osobny stół, to wystarczało ich bardzo niewiele. Nie pomyłę się, gdy powiem, że miesięcznie wydawałem na to rubla srebrem, rozumie się, oprócz chleba rządowego i niekiedy kapuśniaku, kiedy już byłem bardzo głodny i przezwyciężałem wstręt, który zresztą później prawie zupełnie przeszedł. Zazwyczaj kupowałem sobie kawałek wołowiny, po funcie na dzień, a funt wołowiny u nas w zimie kosztował grosz. Po wołowinę chodził na targ którykolwiek z inwalidów, których było w każdej kazarmie po jednym, dla przestrzegania porządku, i którzy sami dobrowolnie przyjęli na siebie obowiązek chodzenia co dzień na targ za sprawunkami dla areztantów i nie brali za to żadnej zapłaty, chyba czasem jakąś drobnostkę. Robili to dla własnego spokoju, inaczej trudno by im było żyć w ostrogu. Tym sposobem przenosili tytoń, herbatę w ceglach, wołowinę, kołaczki i wszelkiego rodzaju inne rzeczy, chyba tylko oprócz wódki. O wódkę ich nie proszono, chociaż czasem nią częstowano. Józef przyrządzał mi przez kilka lat jednakowy zawsze kawałek smażonej wołowiny. Jak tam ona była usmażona, to inna sprawa, ale nie o to chodziło. Rzecz godna uwagi, że w ciągu kilku lat paru słów nawet nie zamieniłem z Józefem. Wiele razy próbowałem rozpocząć z nim rozmowę, ale on był jakby niezdolny do jej podtrzymania: uśmiechnie się, bywało, albo odpowie „Tak” lub „Nie” i rozmowa skończona. Dziwne wrażenie sprawiał widok tego Herkulesa siedmiolatka.

Oprócz Józefa w liczbie tych, co mi usługiwali, był i Suszyłow. Nie wzywałem go i nie szukałem. On sam mnie znalazł i przykomenderował się do mnie; nie pamiętam nawet, kiedy to się stało. Zaczął prać moją bieliznę. Za kazarmami urządzona była wielka jama do zlewania pomyj; nad tą jamą w kamiennych korytach prano areztancką bieliznę. Prócz tego Suszyłow wynajdował tysiące rozmaitych pozorów, ażeby tylko zrobić mi przysługę: nastawiał mój czajnik, biegał z różnymi poleceniami, odszukiwał coś dla mnie, nosił moją kurtkę do naprawy, smarował mi buty cztery razy na miesiąc; wszystko robił gorliwie, z zakłopotaniem, jak gdyby Bóg wie jakie obowiązki ciążyły na nim, jednym słowem zupełnie związał swoje losy z moimi i wziął wszystkie moje sprawy na siebie. Nie mówił nigdy na przykład: „Macie tyle tu koszul, wasza kurtka podarta” itp., ale zawsze:

„Mamy teraz tyle a tyle koszul, nasza kurtka podarta”. Patrzył mi ciągle w oczy i zdawało się, że widział w tym główne zadanie swego życia. Rzemiosła, albo jak mówią aresztanci „rękomiosła” nie miał żadnego, i zdaje się, że jedyny dochód miał ode mnie. Płaciłem mu, ile mogłem, to jest groszami, i zawsze był zadowolony. Nie mógł nie służyć komukolwiek i zdawało się, że wybrał mnie dlatego, że byłem bardziej uprzejmy od innych i uczciwszy w wynagradzaniu. Był on jednym z tych, którzy nigdy nie mogli dojść do pieniędzy i polepszyć swojego losu i którzy najmowali się do czuwania przy majdanach, stali całymi nocami w sieniach na mrozie, przysłuchując się każdemu dźwiękowi na dworze, aby uprzedzić zjawienie się plac-majora, i brali za to po pięć kopiejek srebrem bodaj czy nie za całą noc, a w razie prześlepienia tracili wszystko i odpowiadali grzbietem. Mówiłem już o nich. Charakterystyczne dla tych ludzi było usuwać swoją osobowość wszędzie i zawsze, i omal nie przed wszystkimi, a w sprawach ogólnych odgrywać nawet nie drugorzędną, ale trzeciorzędną rolę. Wszystko to u nich już tak z natury wypływa. Suszyłow był takim nieborakiem, zupełnie bezbronnym, uniżonym, a nawet przybitym, chociaż u nas go nikt nie bił, ale już tak z natury przybitym. Zawsze mi go było żal, nie mogłem nawet spojrzeć na niego bez tego uczucia, ale dlaczego żal mi go było, — sam bym na to nie mógł odpowiedzieć. Rozmawiać z nim nie mogłem; on też rozmawiać nie umiał i widać było, że mu to przychodzi z wielką trudnością; ożywiał się dopiero wtedy, kiedy dla zakończenia rozmowy dałem mu coś do roboty, poprosiłem, aby poszedł lub pobiegł gdziekolwiek. Przekonałem się nawet, że mu tym sprawiam przyjemność. Był on wzrostu ani wysokiego, ani małego, nie był ani ładny, ani brzydki, ani głupi, ani rozumny, trochę ospowaty, dość jasny blondyn. Nic zbyt określonego nie można było o nim powiedzieć. Jedno tylko: jak mi się zdaje, o ile mogłem się domyśleć, należał on do tego towarzystwa, co Sirotkin, i należał jedynie z powodu swego przybicia moralnego, swej bezbronności. Śmiali się z niego niekiedy aresztanci i głównie z tego powodu, że on „pomieniał się” w drodze, idąc w partii na Sybir, i pomieniał się za czerwoną koszulę i rubla srebrem. Otóż dlatego, że sprzedał się za tak nędzną zapłatę, śmiali się z niego aresztanci. Pomieniać się znaczy to zamienić się z kimś na nazwisko, a wraz z nazwiskiem na karę. Jakkolwiek dziwnym wydaje się ten fakt, jest on wszakże prawdziwy i za moich czasów istniał w całej pełni między prowadzonymi na Syberię aresztantami, uświęcony podaniami i określony pewnymi formami. Z początku nie

chciałem temu wierzyć, ale w końcu trzeba było zaakceptować rzeczywistość.

Robi się to w następujący sposób. Prowadzą na przykład na Sybir partię aresztantów. Idą skazani na różne kary: i do katorgi, i do fabryk, i na posilenie; idą razem. Gdzieś na drodze, przypuśćmy w permskiej guberni, któryś z zesłanych zapragnie pomieniać się z drugim. Na przykład jakiś Michajłow, zabójca, czy jakiś inny ważny przestępca, chciałby się wykupić od wieloletniej katorgi, na którą jest skazany. Dajmy na to, że jest przebiegły, lis szczwany, wie, jak się brać do rzeczy; otóż wypatruje w partii jakiegoś naiwnego biedaka, skazanego na karę stosunkowo niewielką: albo do fabryk na niewiele lat, albo na posilenie, albo nawet do katorgi, ale z krótszym terminem. Na koniec znajduje Suszyłowa. Suszyłow pochodzi z ludzi dworskich i zesłany tylko na posilenie. Przeszedł już z półtora tysiąca wiorst, rozumie się, bez kopiejki, ponieważ Suszyłow nigdy nie może mieć kopiejki, idzie znużony, zmęczony, żywiąc się tylko rządową strawą, bez słodkiego kąska choćby przelotnego, w rządowym tylko ubraniu, wszystkim usługując za nędzne miedziaki (od wydawcy: wspomniana wiorsta to dawna rosyjska miara długości, wynosząca nieco ponad 1000 m). Michajłow zawiązuje rozmowę z Suszyłowem, schodzi się z nim, przyjaźni się nawet, na koniec na pewnym etapie poi go wódką. Wtedy to proponuje mu: czy nie chce się z nim pomieniać? Ja, mówi, jestem Michajłow, oto tak i tak, idę niby do katorgi, niby nie do katorgi, tylko do jakiegoś „osobnego oddziału”. Jest to wprawdzie katorga, ale osobna, a więc widocznie lepsza. O osobnym oddziale w czasie jego istnienia nawet władze nie wszystkie wiedziały, choćby na przykład w Petersburgu. Był to taki ukryty kącik w jednym z zakątków Syberii i tak nieludny (przy mnie było tam do siedemdziesięciu ludzi), że trudno było na ślad jego trafić. Spotykałem potem ludzi, którzy służyli w Syberii i znali ją, a pierwszy raz ode mnie dowiadywali się o istnieniu „osobnego oddziału”. W Zwodzie praw jest mowa o nim w sześciu wierszach: „Urządza się przy takim to ostrogu osobny oddział dla najważniejszych przestępców, zanim zostaną otwarte w Syberii najcięższe roboty katorżne”. Nawet aresztanci należący do tego oddziału nie wiedzieli, czy są skazani na całe życie, czy do pewnego terminu. Terminu nie oznaczono, powiedziano: dopóki nie zostaną otwarte najcięższe roboty — i nic więcej, a zatem „wzdłuż po katordze”. Nic dziwnego, że ani Suszyłow, ani nikt z partii o tym nie

wiedział, nie wyłączając i samego Michajłowa, który o osobnym oddziale miał chyba wyobrażenie, wnioskując ze swego przestępstwa, bardzo ciężkiego, za które dostał już trzy czy cztery tysiące pałek. A więc nie poślą go pewno w dobre miejsce. Suszyłow zaś szedł na posilenie; czegoż chceć lepszego? „Czy nie zechcesz się pomieniać?”. Suszyłow podchmielony, dusza prosta, pełen wdzięczności dla Michajłowa, który go tak uprzejmie częstuje, więc nie śmie odmówić. A przy tym już słyszał w partii, że mieniać się można, że inni się mieniają, że zatem nie ma tu nic nadzwyczajnego i niesłychanego. Następuje ugoda. Niesumienny Michajłow, korzystając z nadzwyczajnej naiwności Suszyłowa, kupuje jego nazwisko za czerwoną koszulę i rubla srebrem, co mu też wręcza zaraz przy świadkach. Nazajutrz Suszyłow już nie pijany, ale poją go znowu, a przy tym cofać się niedobrze; otrzymany rubel już przepity, czerwona koszula niedługo potem także. Nie chcesz, więc oddaj pieniądze. A skąd Suszyłow weźmie całego rubla srebrem? Jeżeli zaś nie odda, to aresztanci zmuszać go będą do oddania; tego bardzo surowo przestrzegają. Wreszcie: obiecałeś, więc spełnij obietnicę — i na to nalegać będą. Inaczej zagryzą. Zaczną bić, może nawet zabiją, a przynajmniej zastraszą.

W istocie, gdyby reszta choć raz okazała w takim wypadku pobłażanie, to zwyczaj zamiany nazwisk by ustał. Jeżeli można cofać obietnicę i naruszać zawartą ugodę, wzięwszy już pieniądze, to któż zechce ją wypełniać? Jednym słowem wchodzi tu w grę ogólny interes i dlatego partia w tej sprawie jest bardzo surowa. Na koniec Suszyłow widzi, że nie wymodli sobie przebaczenia i postanawia zgodzić się zupełnie. Oznajmia się to całej partii; jeżeli potrzeba, obdarzają jeszcze i poją tych, których wypada. Tym naturalnie wszystko jedno: Michajłow czy Suszyłow pójdzie diabłu na rogi, a wódkę wypili, ugoszczono ich, więc i z ich strony język za zębami. Otóż na pierwszym etapie wywołują aresztantów po nazwisku; dochodzi do Michajłowa: „Michajłow!”. Suszyłow odzywa się: „Ja!”. „Suszyłow!” Michajłow krzyczy: „Ja!” — i poszli dalej. Nikt już więcej nie mówi o tej sprawie. W Tobolsku zesłanych sortują. „Michajłowa” na posilenie, a „Suszyłowa” pod wzmocnionym konwojem prowadzą do osobnego oddziału. Potem już wszelki protest niemożliwy; i rzeczywiście, jak dowieść prawdy? Na ile lat zaciągnie się taka sprawa? Co za nią spotkać może? Gdzie są wreszcie świadkowie? Zaprzeczają, gdyby nawet byli. Tak

więc i skończyło się na tym, że Suszyłow za rubla srebrem i czerwoną koszulę dostał się do osobnego oddziału.

Aresztanci śmiali się z Suszyłowa nie dlatego, że pomieniał się (choć dla ogółu aresztantów, którzy lżejszą karę zamienili na cięższą, żywią pogardę jako dla głupców w matnię wciągniętych), ale dlatego, że wziął za to rubla srebrem i czerwoną koszulę: zbyt już nikczemna zapłata. Zwykle za taką zamianę płaci się większymi sumami, naturalnie biorąc rzecz stosunkowo. Ale Suszyłow był tak bezbronny, tak pozbawiony indywidualności, tak nędzny w oczach wszystkich, że jakoś śmiać się z niego nie wypadało.

Długośmy żyli razem z Suszyłowem, już kilka lat. Powoli przywiązał się do mnie nadzwyczajnie; nie mogłem tego nie zauważyć, więc też i ja do niego przywykłem. Ale pewnego razu — nigdy sobie tego darować nie mogę — nie spełnił jakiejś mojej prośby, a tymczasem dopiero co wziął u mnie pieniądze i byłem tak bezlitosny, powiedziałem mu: „Pieniądze, Suszyłow, bierzesz, a co zrobić potrzeba, nie robisz”. Suszyłow zamilkł, pobiegł w moim interesie, ale nagle posmutniał. Minęło dwa dni. Myślę sobie, niepodobna, żeby to moje słowa tak na niego podziałały. Wiedziałem, że jakiś aresztant domagał się od niego zwrotu groszowej pożyczki; pewno nie ma pieniędzy, a boi się poprosić mnie o nie. Trzeciego dnia mówię do niego: „Suszyłow, zdaje się, że chciałeś poprosić mnie o pieniądze dla Antona Wasiliewa? Oto są”. Siedziałem na narach: Suszyłow stał przede mną. Był, jak się zdaje, bardzo tym uderzony, że ja sam mu ofiarowałem pieniądze, sam wspominałem o jego kłopotach, tym bardziej, że w ostatnich czasach, według swego mniemania, zbyt już wiele nabrał pieniędzy u mnie, tak że nie śmiał roić nawet, ażeby mu dać więcej. Popatrzył na pieniądze, potem na mnie, odwrócił się nagle i wyszedł. Wszystko to bardzo mnie zastanowiło. Poszedłem za nim i znalazłem go za kazarmami. Stał pod częstokołem, z twarzą zwróconą ku palom, przycisnąwszy do nich głowę i oparłszy się na ręce. „Suszyłow, co wam jest?” — spytałem go. Nie patrzył na mnie i ku swemu wielkiemu zdziwieniu spostrzegłem, że gotów jest zapłakać: „Wy, Aleksandrze Piotrowiczu... myślicie — zaczął głosem urywanym i starając się patrzeć na bok — że ja wam za pieniądze... a ja... ja... e-e-ech!”. Tu znów obrócił się do częstokołu, tak że stuknął się głową o niego i jak nie ryknie!...

Pierwszy raz widziałem człowieka płaczącego w katordze. Zaledwiałem go uspokoił i choć od tego czasu jeszcze gorliwiej, jeśli to było możliwe, zaczął mi służyć i „pilnować mnie”, ale po niektórych, prawie nieuchwytnych znakach spostrzegłem, że jego serce nie mogło mi nigdy darować mojego wyrzutu. A przecież inni śmiali się z niego, kłuli go przy każdej sposobności, łajali go nieraz grubo — a on żył z nimi zgodnie i w przyjaźni i nigdy się nie obrażał. Tak, bardzo trudno nieraz poznać człowieka, nawet po wielu latach znajomości!

Oto dlaczego katorga z pierwszego wejrzenia nie mogła mi się przedstawić w prawdziwej postaci, jak przedstawiła się potem. Dlatego powiedziałem, że jakkolwiek spoglądałem na wszystko chciwie, z natężoną uwagą, nie mogłem jednak dostrzec wielu rzeczy, które były tuż przede mną. Rzecz naturalna, uderzały mnie naprzód zjawiska wybitniejsze, ostro się zarysowujące, ale i te może pojmowane były przeze mnie niewłaściwie i zostawiały w mojej duszy jedno, ciężkie, beznadziejnie smutne wrażenie. Wiele się przyczyniło do tego spotkanie moje z A-wem, także aresztantem, który przybył niedługo przede mną do ostrogu i który wywarł na mnie szczególnie udręczające wrażenie w pierwszych dniach po moim przybyciu do katorgi. Wiedziałem zresztą jeszcze w drodze, że spotkam się tam z A-wem. On zaprawił mi trucizną te pierwsze ciężkie czasy i spotęgował męczarnie mej duszy. Nie mogę przemilczeć o nim.

Był to najwstrętniejszy przykład, do jakiego stopnia może się człowiek poniżyć i spodlić, do jakiego stopnia może zabić w sobie wszelkie uczucie moralne, bez pracy i bez skruchy. A-w był to ów młody szlachcic, o którym już wspominałem, mówiąc, że donosił naszemu plac-majorowi o wszystkim, co się dzieje w ostrogu i był zaprzyjaźniony z jego dieńszczykiem Fiedką. Oto krótka jego historia. Nie skończywszy nigdzie kursu nauk i pokłóciwszy się w Moskwie z rodziną, która przelewała się jego rozpustnego życia, pojechał do Petersburga i żeby zdobyć pieniądze, odważył się na pewną podłą denuncjację, to jest postanowił sprzedać krew dziesięciu ludzi dla niezwłocznego zaspokojenia nieugaszonej żądz rozpusty. Życie petersburskie ze swymi cukierniami i tym podobnymi zakładami wzmogło w nim jeszcze więcej tę żądzę, tak że on, będąc człowiekiem niegłupim, odważył się na rzecz szaloną i niedorzeczną. Wykazano mu prędko kłamstwo; do swojej denuncjacji wplątał on ludzi

niewinnych, innych oszukał, i za to zesłano go na Sybir do naszego ostrogu, na lat dziesięć. Był jeszcze bardzo młody, życie dla niego dopiero się zaczynało. Zdawałoby się, że tak straszliwa zmiana w jego losie powinna nim wstrząsnąć, wywołać jakąś reakcję w jego naturze, jakiś przełom. Ale on przyjął swój nowy los najspokojniej, bez najmniejszej nawet odrazy, nic go to nie wzburzyło, nic go nie przeraziło, chyba tylko konieczność pracowania i rozstania się z ulubionymi siedliskami w Petersburgu. Zdało mu się nawet, że stanowisko katorżnika rozwiązało mu ręce do większych jeszcze podłości. „Katorżnikiem zostałem, więc katorżnikiem będę; skoro katorżnik, więc nie ma wstydu być podłym”. Dosłownie to było jego mniemanie. Wspominam o tej brzydkiej istocie jako o fenomenalnym zjawisku. Kilka lat przeżyłem pośród zabójców, rozpustników, jawnych złoczyńców, a jednak mówię stanowczo, że nigdy w życiu nie spotkałem takiego zupełnego upadku moralnego, takiego zepsucia, takiej podłości jak w A-wie. Mieliśmy ojcobójcę ze szlachty; wspominałem już o nim; ale przekonałem się po wielu rysach i faktach, że i ten był nierównie szlachetniejszy i bardziej ludzki od A-wa. W moich oczach przez cały czas mego życia w ostrogu A-w był jakimś kawałem mięsa z zębami i żołądkiem, z nieugaszoną żądzą najgrubszych, zwierzęcych, cielesnych rozkoszy, który dla zaspokojenia tej żądzy w czymkolwiek, gotów był z najzimniejszą krwią zabić, zarżnąć, słowem gotów na wszystko, byle tylko końce były schowane. Nic tu nie przesadzam; poznałem dobrze A-wa. To był przykład, do czego może dojść cielesna strona człowieka, niepowstrzymywana wewnątrz żadną normą, żadnym prawem. Z jakimże wstrętem patrzyłem na jego wiecznie szyderczy uśmiech! To był potwór, moralny Quasimodo. Trzeba dodać do tego, że był przebiegły i rozumny, przystojny, trochę nawet wykształcony i miał zdolności. „Nie, lepszy pożar, lepszy mór i głód niż taki człowiek w społeczeństwie!”.

Powiedziałem już, że w ostrogu tak się wszystko spodliło, że szpiegostwo i donosy kwitły i aresztanci wcale się o to nie gniewali. I owszem, z A-wem wszyscy byli w bardzo przyjacielskich stosunkach, daleko przychylniejsi dla niego niż dla nas. Łaskawość okazywana mu przez naszego pijanego majora dodawała mu w ich oczach znaczenia i wagi. Między innymi zapewnił on majora, że może malować portrety (aresztantów zapewniał, że był porucznikiem gwardii), i ten zażądał, aby go wysyłano na robotę do jego domu, dlatego, rozumie się, aby mógł

zdejmować jego portret. Tutaj to A-w zeszedł się z dieńszczykiem Fiedką, który miał nadzwyczajny wpływ na swego pana, a przez to na wszystkich i wszystko w ostrogu. A-w szpiegował nas na żądanie majora, a ten, kiedy upił się i bił go po twarzy, nazywał go szpiegiem i donosicielem. Zdarzało się, i to często, że wnet po takiej scenie major sadowił się na krześle i rozkazywał A-wowi dalej wykańczać portret. Zdaje się, że nasz major naprawdę wierzył, że A-w był znakomitym artystą, bodaj nie Briułłowem, o którym i on coś słyszał, pomimo to wszakże przyznawał sobie prawo bić go po twarzy, bo „choć ty teraz taki sam artysta, ale katorżny, a ja, choćbyś ty był nad-Briułłow, jestem twój naczelnik, a więc co zechcę, to i zrobię z tobą”. I tak kazał A-wowi zdejmować sobie buty, wynosić różne wazy z sypialni, a mimo to nie mógł przez długi czas pozbyć się tej myśli, że A-w jest wielkim artystą. Portret ciągnął się bez końca, rok prawie. Na koniec major domyślił się, że portret nie zbliża się do końca, a przeciwnie, z każdym dniem staje się mniej podobny do niego, rozgniewał się, obił artystę i zesłał go za karę do ostrogu do robót najcięższych. A-w widocznie żałował tego, przykro mu było rozstawać się z próżniaczym życiem, z potrawami podawanymi sobie z majorskiego stołu, z przyjacielem Fiedką i ze wszystkimi przysmakami, które oni sobie we dwóch na majorskiej kuchni przyrzadzali.

Z oddaleniem A-wa major przestał przynajmniej prześladować M-kiego, aresztanta Polaka, na którego A-w ciągle wygadywał, a oto z jakiego powodu. M-ki w chwili przybycia A-wa do ostrogu, był sam jeden. Było mu bardzo ciężko; nie miał nic wspólnego z innymi aresztantami, patrzył na nich z przestraczem i obrzydzeniem, nie spostrzegał w nich nic, co by mogło przedstawić ich w korzystniejszym świetle i zbliżyć go do nich, i nie miał z nimi stosunków. Ci płacili mu za to nienawiścią. W ogóle w ostrogu położenie ludzi podobnych do M-kiego jest okropne. Dlaczego A-w dostał się do ostrogu, o tym M-ki nie wiedział. Przeciwnie A-w, dowiedziawszy się, z kim ma sprawę, natychmiast zapewnił go, że jest zesłany za coś wręcz przeciwnego denuncjacji, prawie za to, za co i M-ki był zesłany. M-ki ogromnie ucieszył się, znalazłszy towarzysza, przyjaciela. Chodził koło niego, pocieszał go w pierwszych dniach katorgi, przypuszczając, że musi on wiele cierpieć, oddał mu swoje ostatnie pieniądze, karmił go, podzielił się z nim najniezbędniejszymi rzeczami. Ale A-w natychmiast poczuł ku M-kiemu nienawiść, za to mianowicie, że ten był szlachetny, że z takim

wstrętem patrzył na każdą niskość, a i za to, że on sam był zupełnie niepodobny do M-kiego. I wszystko, co M-ki w rozmowach swoich z nim powiedział o ostrogu i majorze, wszystko to A-w przy pierwszej okazji pośpieszył donieść majorowi. Major straszliwie znienawidził za to M-kiego i gnębił go, i gdyby nie wpływ komendanta, doprowadziłby go do nieszczęścia. A-w zaś nie tylko nie był zmieszany, gdy potem M-ki dowiedział się o jego podłości, ale nawet lubił spotykać się z nim i z szyderstwem spoglądać na niego. Sprawiało mu to widoczną przyjemność. Sam M-ki wskazywał mi to kilka razy. Ta nikczemna istota uciekła potem z innym aresztantem i z konwojowym, ale o tej ucieczce potem opowiem. Z początku bardzo się i do mnie podlizywał, myśląc, że nie słyszałem o jego historii. Powtarzam, on mi zatruł pierwsze dni katorgi jeszcze większą boleścią. Przeraziłem się tej otchłani podłości i nikczemności, w którą mnie wtrącono, w której się ocknałem. Myślałem, że wszystko tu takie podłe i nikczemne. Ale myliłem się: sądziłem o wszystkich po A-wie.

W ciągu tych trzech dni włóczyłem się w ciężkim smutku po ostrogu, leżałem na swoich narach; pewnemu aresztantowi, któremu można było zaufać, a którego mi polecił Akim Akimycz, dałem szyć koszulę z wydanego mi płótna rządowego, urządziłem sobie, za radą i naleganiem Akima Akimycza, składany materacyk (z filcu obszytego płótnem), nadzwyczajnie cienutki, jak blin, i poduszkę, wypchaną sierścią i dla nieprzyzwyczajonego strasznie szorstką (od wydawcy: blin to cienki placek, podobny do naleśnika, danie typowe dla kuchni rosyjskiej, białoruskiej i ukraińskiej). Akim Akimycz gorliwie się zajmował urządzaniem dla mnie tych wszystkich rzeczy i sam brał w tym urządzaniu udział, własnoręcznie zszył dla mnie kołdrę ze szmat starego sukna rządowego, zebranego z podartych pantalonów i kurtek, które kupiłem u innych aresztantów. Rządowe rzeczy po upływie terminu noszenia pozostawiano na własność aresztantowi; sprzedawano je natychmiast tuż w ostrogu i rzecz najbardziej znoszona znajdowała nabywcę.

Wszystkiemu temu z początku się dziwiłem. W ogóle był to czas pierwszego mego zetknięcia się z prostym ludem. Ja sam nagle stałem się takim prostym człowiekiem, takim samym katorżnym, jak i oni. Ich zwyczaje, pojęcia i opinie stały się jakby moimi, przynajmniej zewnętrze, według prawa, choć ich w rzeczywistości nie podzielałem. Dziwiło mnie to

i przygnębiało, jak gdybym nie podejrzewał przedtem nic podobnego i nie słyszał o tym, pomimo iż wiedziałem i słyszałem. Ale rzeczywistość sprawia zupełnie inne wrażenie niż to, co się wie tylko, o czym się słyszy. Czy mogłem, na przykład, kiedykolwiek przedtem choć przypuszczać, że takie stare łachmany mogą być uważane za rzeczy? A jednak z tych to starych łachmanów zszyłem sobie kołdrę! Trudno sobie nawet wyobrazić, jakiego gatunku było sukno przeznaczone na odzież aresztancką. Z pozoru w istocie było ono podobne do grubego sukna żołnierskiego, ale wystarczyło je trochę ponosić, a rozłaziło się niemiłosiernie. Prawda, sukienne ubranie dawano tylko na termin roczny, ale i do tego terminu trudno je było donosić. Aresztant pracuje, dźwiga na sobie ciężary; odzież obciera się i obdziera się prędko. Kozuchy zaś wydawano na trzy lata i w ciągu tego czasu służyły one zwykle i za odzież, i za kołdrę, i za posłanie. Ale kozuchy są mocne, chociaż nietrudno było widzieć na kimś przy końcu trzeciego roku, to jest terminu noszenia, kozuch z łatą płócienną. Nie zważając na to, nawet bardzo znoszone kozuchy po upływie przewidzianego dla nich terminu sprzedawały się po czterdzieści srebrnych kopiejek. Niektóre zaś, co się lepiej zachowały, sprzedawano za sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt, a w katordze były to już wielkie pieniądze.

Pieniądze — mówiłem już o tym — miały w ostrogu ogromne znaczenie, były potęgą. Stanowczo można twierdzić, że aresztant, który miał w katordze choć trochę pieniędzy, dziesięć razy mniej cierpiał od tego, który nie miał ich wcale, chociaż ten ostatni otrzymywał wszystko od rządu i — jak rozumowała nasza władza więzienna — po co mu zatem pieniądze? I znowu powiadam, że gdyby aresztanci pozbawieni byli wszelkiej możliwości mieć swoje pieniądze, to albo dostawaliby obłąkania, albo marliby jak muchy (pomimo że mieli wszystkie potrzeby zaopatrzone), albo by puścili się na niesłychane przestępstwa — jedni z nudy, drudzy — aby co prędzej śmierć ściągnąć na siebie albo w jakiś sposób „los odmienić”. Jeżeli zaś aresztant, zdobywszy krwawym potem swoją kopiejkę, albo też odważając się dla jej zdobycia na niezwykle podstępny, połączony często ze złodziejstwem i oszustwem, zaraz potem trwoni ją niedorzecznie, z dziecinną bezmyślnością, to nie dowodzi to wcale, że on jej nie ceni, chociaż to tak wygląda na pierwszy rzut oka. Na pieniądze aresztant chciwy jest do szaleństwa i jeśli istotnie podczas hulania rzuca je jak trzaski, to

rzuca je dla czegoś, co uważa za rzecz jeszcze wyższą o jeden stopień od pieniędzy (od wydawcy: trzaski to małe, odłupane od czegoś kawałki drewna, używane zazwyczaj jako podpałka). Cóż jest dla aresztanta wyższego od pieniędzy? Wolność lub choćby tylko mara wolności. A aresztanci — wielcy marzyciele. Powiem coś o tym później, tu tylko wspomnę, że widziałem zesłanych „na dwadzieścia lat” do katorgi, którzy bardzo spokojnie i naturalnie mówili do mnie w taki sposób: „Ano trzeba poczekać, da Bóg ukończy karę, a wtedy...”. Całe znaczenie słowa „aresztant” polega na tym, że to jest człowiek bez woli, a tracąc pieniądze, on już działa „według swej woli”. Nie zważając na wszelkie piętna, kajdany i nienawistne pale ostrokołu więziennego, które mu świat boży zasłaniają i ogradzają go jak zwierza w klatce, może on dostać wódki, to jest surowo zakazanej przyjemności, posmakować jagodowej nalewki, może niekiedy (choć nie zawsze) przekupić swoich najbliższych zwierchników, inwalidów, a nawet podoficera, którzy przez palce będą patrzyli na to, że narusza prawo i dyscyplinę, może jeszcze w dodatku zucha wobec nich udawać, a zucha udawać aresztant niezmiernie lubi, to jest lubi pokazać się wobec towarzyszy i sobie wmówić „choć na chwilę”, że ma mocy i władzy daleko więcej, niż się zdaje; — jednym słowem może nahulać się, nahałasować, narozbijać, obrazić kogoś najsilniej i dowieść mu, że on to wszystko „może”, że to wszystko „w naszej mocy”, to jest wmówić sobie to, o czym biedakowi i pomyśleć trudno. Oto jest może, mówiąc nawiasem, przyczyna, dla której daje się powszechnie spostrzegać w aresztantach, nawet w trzeźwym stanie, skłonność do zuchwalstwa, do chełpliwości, do komicznego i naiwnego, choćby tylko urojonego wynoszenia się. A wreszcie w całym tym hulaniu jest pewne ryzyko, a więc ma to wszystko choć dalekie podobieństwo do wolnego życia. A czego nie oddasz za wolność? Jaki milioner, gdyby mu gardło ściśnięto stryczkiem, nie oddałby wszystkich swoich milionów za jeden łyk powietrza?

Dziwią się czasem władze więzienne, że oto jakiś aresztant żył przez kilka lat spokojnie, przykładnie, że go nawet dziesiętnikiem zrobiono za chwalne sprawowanie się, i nagle, ni stąd ni zowąd — zupełnie jakby go diabeł opętał — zahulał, nabroił, narozbijał, a niekiedy na ciężkie przestępstwo się odważył: albo na jawny brak szacunku wobec wyższej władzy, albo zabił kogoś, albo zgwałcił itp. Patrzą na niego i dziwią się. A tymczasem być może, iż całą przyczyną nagłego wybuchu w tym

człowieku, od którego najmniej się można było czegoś podobnego spodziewać, jest konwulsyjne objawienie się indywidualizmu, instynktowna tęsknota za samym sobą, pragnienie zaakcentowania swej poniżonej osobowości, które nagle się w nim zbudziło i doszło w jednej chwili do gniewu, do szaleństwa, do zaćmienia rozsądku, do konwulsyjnych rzutów. W taki sposób może żywcem pochowany w grobie, przebudziwszy się tam, tłucze w wieko trumny i sili się, by je zrzucić, chociaż rozsądek mógłby go pouczyć, że wszelkie jego usiłowania są nadaremne. Ale w tym rzecz, że tu już nie ma miejsca dla rozsądku, tylko dla konwulsji. Weźmy jeszcze pod uwagę, że prawie każdy własnowolny objaw osobowości w aresztancie uważa się za przestępstwo, a w takim razie, naturalnie, wszystko mu jedno, czy to większy, czy mały objaw. Hulać — więc już hulać do ostateczności, odważyć się na wszystko, choćby i na zabójstwo. Zresztą dość tylko zacząć: upije się człowiek i nie powstrzymasz go! I dlatego pod każdym względem byłoby lepiej nie doprowadzać do tego. Dla wszystkich byłby stąd większy spokój.

Tak; ale jak to zrobić?

Dziękujemy za skorzystanie z naszej oferty wydawniczej. Zachęcamy do zapoznania się z innymi e-bookami oraz audiobookami wydanymi przez nasze wydawnictwo.

Wydawnictwo Łukasz Tomys Publishing